

seria: „Ocalić od zapomnienia” – 1

S. MONIKA ALEXANDROWICZ

Z Lubcza na Antypody

Zgromadzenie Sióstr Urszulanek SJK • 1998

Wspomnienia zostały spisane w 1972 roku w Częstochowie przy pomocy pani Anny z Krulikowskich Makarewicz, szkolnej koleżanki s. Moniki. W formie maszynopisu, będącego pierwszą redakcją pamiętnika, znajdują się one w Archiwum Głównym Zgromadzenia SS. Urszulanek SJK w Pniewach. Były drukowane w wydawanym w Paryżu pallotyńskim miesięczniku *Nasza Rodzina*.

Spis treści

Wstęp	2
1. NAD NIEMNEM (1935–1939).....	3
2. POBYT W CZARNYM BORZE (1939–1941).....	11
3. W OBOZACH ZSRR (1941–1942)	14
4. DALEJ W ŚWIAT – PRZY WOJSKU POLSKIM (1942).....	24
5. W PERSJI (1942–1944)	29
6. W NOWEJ ZELANDII (1944–1958).....	39
7. POWRÓT DO KRAJU (1958).....	54
S. Monika Alexandrowicz.....	56

Wstęp

Tekstem wspomnień s. M. Moniki Alexandrowicz rozpoczynamy nową serię wydawniczą pt. *Ocalić od zapomnienia*. W kolejnych tomikach, wydanych przede wszystkim z myślą o Zgromadzeniu i „domowymi” sposobami, pragniemy bowiem **ocalić od zapomnienia**, a jednocześnie **udostępnić** możliwie najszerszej liczbie sióstr nasze wspólne bogactwo: historię Zgromadzenia, widzianą poprzez wspomnienia o osobach, wspólnotach i wydarzeniach, które tworzyły naszą przeszłość i jakoś kształtowały naszą teraźniejszość. Jest to w moim odczuciu bezcenny skarb, ukazujący nam przez świadków, jak dar Ducha Świętego, charyzmat, który otrzymała nasza Matka Założycielka, wcielał się we wspólnotę przez Nią do życia powołaną, przenikał ją i kształtował, wydając wspaniałe i trwałe owoce.

Zaczynamy od wspomnień z okresu drugiej wojny światowej, z czasu, w którym Siostry i całe Zgromadzenie, niemal zaraz po śmierci umiłowanej Założycielki, musiały przejść prawdziwą *próbę ognia*. Przeszły przez nią zwycięsko. Niech te teksty pomogą nam w pełniejszym poznaniu i umiłowaniu naszej zakonnej Rodziny i będą pomocą w naszym synodalnym poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: *kim jesteś, urszulanko S.J.K, jakie jest twoje dziedzictwo...*

Zachęcam do lektury. **Warto!**

Warszawa, 25 lutego 1998

m. Jolanta Olech

1. NAD NIEMNEM (1935–1939)

1 lipca 1935 roku matka Urszula Ledóchowska otworzyła placówkę w Lubczu, w okolicy Nowogródka, mianując mnie jej kierowniczką. Lubcz – było to niewielkie miasteczko nad Niemnem i rozparcelowany majątek, ongiś (od 1606 roku) własność Radziwiłłów, a ostatnio księcia Mirskiego, z pochodzenia Białorusina.

Właściwie zachowały się tylko ruiny zamku otoczone resztkami fosy oraz dwie obronne baszty z XII i XIV wieku, a także most zwodzony, tak już jednak zniszczony od upływu czasu, że dla bezpieczeństwa trzeba go było zasypać ziemią. Pomimo zniszczenia – był to piękny zabytek, otoczony wspaniałym parkiem i sadem, liczącym kilkaset drzew. To otoczenie i bliskość Niemna czyniły z niego uroczy zakątek. Resztówkę tę nabył Nowogrodzki Związek Ziemian, ofiarowując ją następnie Zgromadzeniu Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego.

Przybyłyśmy do Lubcza początkowo we trzy: siostra Arkadia Witkowska, siostra Gracjana Kowalczyk i ja. Zamieszkałyśmy na razie w piętrowym budynku, przerobionym na ten cel z dawnej stajni. W pałacu były tylko dwa pokoje, które jako tako nadawały się do zamieszkania. Wykorzystywane były dotąd jako sale jadalne podczas rejonowych konferencji nauczycielstwa. Poza tym na zamku rozgościły się jedynie nietoperze, a na wysokich kominach – bociany.

Pracę rozpoczęłyśmy od prowadzenia przedszkola, które urządziłyśmy w baszcie zamkowej. Składało się ono z dwóch grup dzieci: zamożniejszych, od których pobierałyśmy opłatę, oraz biednych, które korzystały z przedszkola bezpłatnie. Personel stanowiły dwie siostry i osoby świeckie. Później zorganizowałyśmy opiekę nad chorymi, a także Krucjatę Eucharystyczną.

Od samego początku pracy w Lubczu zajęłam się katechizacją w miejscowej szkole podstawowej (na 700 dzieci było tam tylko 30 dzieci katolickich), a także w dwóch punktach katechetycznych, które mieściły się w domach prywatnych, odległych o 6 km od Lubcza.

W pierwszym roku naszego pobytu w Lubczu ogród i sad praktycznie nie mogły być przez nas wykorzystywane, bo były sezonowo uprawiane przez ogrodnika i jeszcze kilku innych dzierżawców. Ale już w następnym roku siostry objęły cały teren ośrodka, uprawiając pole i ogród oraz pielęgnując sad – razem na dwunastu hektarach ziemi. To dawało podstawę bytu i pozwalało nam nawet na organizowanie kolonii letnich dla dzieci z Łodzi i Warszawy, a później także z Wadowic.

Kiedy praca placówki zaczęła się rozszerzać, przybywało coraz więcej sióstr: w roku 1939 było nas dwadzieścia.

Nie brakowało też w Lubczu różnych trudności. O wszystkich wydarzeniach zachodzących w domu oraz o naszych potrzebach informowałam listownie matkę Urszulę Ledóchowską, a ona natychmiast na to reagowała. Miał rację ksiądz biskup Karol Niemira (sufragan piński), który kiedyś w rozmowie ze mną wyraził się, że matka Urszula otrzymała od Boga cenny dar: zbiera drobne okruchy i przemienia je w dzieła Boże. Tak było istotnie. Matka, swą nieustanną opieką, z właściwą sobie wielką intuicją, wszystko rozszerzała i pomnażała.

Odwiedzała nas często i zawsze wносиła ze sobą pełnego roztropnej miłości opiekuńczego ducha. Raz odwiedziła nas bez zapowiedzi i wprost z drogi pośpieszyła do kaplicy. Trafiła właśnie na wieczorne nabożeństwo, które odprawiał ksiądz Jan Zieja. Kaplica – jak zwykle – pełna była ludzi, którzy stali nawet na dworze. Kiedy wychodziła, otoczyło ją grono osób prosząc, aby matka zezwoliła siostronom na założenie gimnazjum, ponieważ istniejące w Nowogródku było tak przepelnione, że dzieci z tutejszych okolic nie mogły się już tam dostać. Matka dała na to zezwolenie, choć – jak się później dowiedziałam – przyjechała do nas zaniepokojona, jak sobie dajemy radę i pełna obaw o przyszłość placówki, wahając się, czy jej nie zamknąć. I cóż się okazało – zamiast likwidacji rozszerzyła ją o tak ważną instytucję, jak szkoła średnia!

Tak więc zabrałyśmy się do zorganizowania gimnazjum, oczywiście początkowo tylko pierwszej klasy. Z każdym rokiem miała przybywać następna. Po egzaminach wstępnych, jesienią 1937, rozpoczęłyśmy lekcje. Uczęszczały do tej szkoły przeważnie dzieci Polaków, którzy przybyli tu po pierwszej wojnie światowej i osiedlili się na stałe na przydzielonych terenach.

Nadszedł rok 1939. Wiosną odbył się zjazd przełożeniński w Pniewach. Ponieważ spodziewano się wojny, Matka wykorzystwała go na udzielenie siostronom instrukcji na wypadek jej wybuchu. Wracając

ze zjazdu zatrzymałam się w Poznaniu, gdzie spotkałam się z moim bratem, który pracował w urzędzie wojewódzkim. Podczas rozmowy z nim zorientowałam się, że rzeczywiście wojna może wybuchnąć wkrótce. Mówił mi, że w Poznaniu są już robione przygotowania. Z niepokojem wracałam do Lubcza.

Tu nikt o wojnie nie myślał. Dom nasz był w pełni rozwoju. Wykończono właśnie osiem pięknych pokoi w zamku, doprowadzono wodę zimną i gorącą, umeblowano wszystkie pomieszczenia. Gościło u nas wtedy na wakacjach około 300 osób, w tym 150 dzieci młodszych, na koloniach, 80 dziewcząt wraz z nauczycielkami z wadowickiego gimnazjum, 36 letników z okolicy Nowogródka i z Warszawy, oczywiście siostry domowe i kilka sióstr z opieki kolonii dziecięcej. Nieco później przyjechał też mój brat, by spędzić w Lubczu swój urlop. Pogoda była wspaniała tego przedwojennego sierpnia, toteż wszyscy korzystali w całej pełni ze spacerów, wycieczek, pływania. Wszyscy byli weseli i nieprzeczuwający niebezpieczeństwa. Nawet w polu i w sadzie dopisały zbiory – jak rzadko. Był to jakby ostatni uśmiech radości przed naciągającą nawałnicą wojenną, której rozmiarów nikt wówczas nie przewidywał.

Pierwszym zwiastunem wojny było ogłoszenie poboru do wojska mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat. Niemal każdy z powołanych przychodził, prosząc o opiekę nad swoją rodziną pozostawioną w domu. Niepokój wzrastał z każdym dniem. Matki dziewcząt z Wadowic nalegały listownie, aby córki czym prędzej powracały. Siostry wraz z dziećmi z kolonii wyjechały natychmiast. Nauczycielki z dziewczętami z Wadowic chciały zrobić to samo, gdy niespodziewanie zjawiała się w Lubczu ich dyrektorka i kategorycznie zabroniła wyjazdu twierdząc, że o wojnie mowy nie ma, że to są tylko wymysły „przeczulonych mamus”. Prosiła, żeby nie stwarzać paniki, do której nie ma żadnych podstaw. Opłaciła nawet należność, przedłużając o pięć dni pobyt dziewcząt w Lubczu.

W tym czasie do mego brata przyszła depesza, przerywająca jego urlop z wezwaniem do natychmiastowego powrotu do Poznania. Wczesnym rankiem odprowadziłam go do autobusu, pełna obaw i złych przeczuć; tego tylko nie przeczuwałam, że niezadługo mój brat zginie w Katyniu...

Wtedy to dowiedziałam się od ludzi, że sytuacja jest groźna, że pociągi przewożą tylko rekrutów i wojsko, a ruch pasażerski został wstrzymany. Pobiegłam szybko na dworzec, żeby się dowiedzieć, czy możliwe będzie wysłanie dziewcząt jeszcze dzisiejszym pociągiem, który odchodził o godzinie szóstej. Kolejarze zgodzili się zabrać dziewczęta - jeśli zdążą. Była już godzina 5⁴⁵! Miałam piętnaście minut na powrót do domu, pobudzenie śpiących dziewcząt i nauczycielek, ubranie się ich, spakowanie i dojście do stacji (na szczęście znajdowała się ona tuż koło naszego parku). Jakimś cudem zdążyłam. W domu zorganizowałam cały wyjazd i wróciłam na dworzec, aby uprosić wstrzymanie pociągu do chwili przyścia dziewcząt. W parę minut potem przybiegła cała grupa, siostry z paczkami prowiantu na drogę; na wpół ubrane dziewczęta i nauczycielki zabrały ze sobą tylko najkonieczniejsze rzeczy. Pociąg odjechał z trzyminutowym opóźnieniem.

Później otrzymałyśmy wiadomość, że po pięciodniowej, uciążliwej podróży dotarły do domów. Rodzice w listach dziękowali nam serdecznie. Tylko dyrektorka przysłała list bardzo niegrzeczny, żądając natychmiastowego odesłania walizek dziewcząt, któreśmy „ukradły”! Rodzice nie upominali się o to. Wszystkim było wiadomo, że ani poczta, ani kolej nie przyjmowały bagaży.

Dom nasz opustoszał, ale nie na długo. Po kilku dniach - w porozumieniu z gminą – przyjęłyśmy 70 rodzin oficerskich, ewakuowanych z Białegostoku. Przyjechały one ogromnymi samochodami ciężarowymi, pełnymi ubrań, pościeli, a nawet broni.

Zaraz za tą grupą zaczęli napływać uchodźcy spod Warszawy. Wyglądali rozpaczliwie. Uciekając w popłochu przed napierającymi Niemcami, pozostawiali wszystko, cały swój dobytek. Przywędrowali przerażeni, wynędzniali, poranieni, chorzy. Trzeba się było nimi zająć. Siostry przerwały prace w polu i w ogrodzie, by móc cały czas poświęcić tym nieszczęśliwym ludziom: opatrywaniu i doglądaniu chorych, uspokajaniu załamanych, przygotowywaniu dla nich posiłków, praniu bielizny itd.

Przeplýwały też przez nasz ośrodek grupy mężczyzn, uciekających na rowerach przed Niemcami. Po krótkim odpoczynku i posiłku u nas – jechali dalej na wschód.

Wojna stała się rzeczywistością. Pierwsze dni upalnego września były świadkami rozpaczliwych walk, obrony Westerplatte i coraz to gwałtowniejszej ofensywy Niemców na Polskę.

Dnia 16 września 1939 roku zostałam zaproszona do gminy na zebranie. Zastałam tam zespół, którego się nie spodziewałam: był tam pop, ubrany uroczysto, ze złotym krzyżem na piersiach; był rabin ze srebrną gwiazdą na łańcuchu; kierownik szkoły, naczelnik poczty, wójt i inni. Okazało się, że zebranie to miało na celu zorganizowanie pomocy uchodźcom. Pierwszy zaczął mówić rabin. Pytał, czy

wszyscy uchodźcy są na naszym utrzymaniu. Gdy odpowiedziałam, że tak, że wszystkich żywymy własnymi produktami, rabin zaskoczył mnie pytaniem, czy zastanowiłam się nad tym, co będzie, gdy produktów zabraknie.

– Nie pomyślałam o tym – powiedziałam.

– Ale myśmy myśleli – mówił – to jest wspólne nasze nieszczęście, ta wojna, więc wszyscy musimy mieć swój udział w niesieniu pomocy i ratunku. Pomożemy siostrze. Postanowiliśmy zbiórki. Jutro wysyłamy pięć furmanek na wieś po produkty, aby każdy, ile może, ofiarował na ten cel. Wszystko będzie dowożone do sióstr, do ich dyspozycji.

I rzeczywiście, 17 września, w niedzielę, wyjechały furmanki na kwestę z żoną naczelnika poczty. W dwie godziny później przybiegł do mnie listonosz, przysłany przez naczelnika, który bardzo niepokoił się o żonę i pytał, czy już wyjechała. Poufnie zdradził mi przyczynę tego niepokoju: Oto na pocztę przyszła wiadomość, że już o czwartej rano tego dnia wojska sowieckie przekroczyły naszą granicę.

Nie powiedziałam o tym nikomu ani słowa, jednak wiadomość przeraziła mnie. Poszłam do kaplicy, aby tam, w obliczu Boga, zastanowić się, co dalej robić. W pewnym momencie przypomniałam sobie, jak bardzo nasza Matka Założycielka ubolewała nad Rosją i jak pragnęła tam jechać, aby nieść pomoc zagubionym ludziom. Mówiła o tym w dniu swego jubileuszu (17 kwietnia 1937 roku) i wspominała, że chciałyby do tej misji znaleźć wśród nas ochotniczki. Wtedy – pamiętam – ofiarowałam się z pomocą. Ale nie doszło to do skutku. Teraz, wspominając tę rozmowę i pragnienie Matki pracy wśród Rosjan, pomyślałam sobie: skoro nie można jechać do Rosji, nie trzeba uciekać, kiedy ona do nas przychodzi. I postanowiłam zostać.

Wychodząc z kaplicy napotkałam dużą grupę – jakieś 40 osób – młodych ludzi na rowerach. Chcieli u nas odpocząć i prosili o coś do picia. Musieli jednak wyczuć w moim zachowaniu jakieś wahanie (zastanawiałam się: zatrzymać ich i ugościć, czy uprzedzić wpięć o grożącym niebezpieczeństwie), bo otoczyli mnie dopytując, co się stało – od razu woleli dowiedzieć się prawdy, bodaj najgorszej. Gdy im powiedziałam, natychmiast – mimo zmęczenia, pragnienia i głodu – wskoczyli na rowery i odjechali. Dokąd? Byli jak w potrzasku - uciekali przed Niemcami, a natykali się na bolszewików. Czy się uratowali? Co się z nimi stało?

Tymczasem dochodziła godzina dziesiąta, czas na Mszę świętą. Ludzie schodzili się zewsząd, wreszcie – jak zwykle – tłum zapełnił kaplicę. Pragnęłam, aby ta Msza święta odbyła się w spokoju, bałam się, że bolszewicy mogą nadejść i znieważać Najświętszy Sakrament, jak to zrobili komuniści w Nowogródce. Poszłam więc do naszego kapłana, księdza Jana Radziwona, i – nie mówiąc mu o bolszewikach – poprosiłam, aby, wobec niepokoju, po Mszy świętej pozostawił tylko kilka komunikatów.

Nim rozpoczęła się Msza święta, wezwano mnie do rozmównicy, gdzie zastałam trzech młodych mężczyzn, zmęczonych i brudnych. Byli to księża pallotyni z Rajczy. Uciekali na koniach, chcąc jakimś sposobem – okrężnymi drogami – dostać się do Anglii! Zatrzymali się u nas prosząc o zamianę żyta na owies dla koni. Zgodziłam się, zaproponowałam im odpoczynek i posiłek, a sama wróciłam do kaplicy. Msza się już rozpoczęła, a moje spóźnienie zaniepokoiło siostry i zgromadzonych ludzi. Wszyscy spoglądali na mnie z niepokojem. Nie tłumaczyłam oczywiście niczego, tylko gorąco się modliłam. W czasie podniesienia doleciał nas warkot samolotów i silne detonacje. Powstał popłoch, ludzie zaczęli wybiegać na dwór. Chciałam ich powstrzymać obawiając się, że gdy zostaną dostrzeżeni, samoloty zrzucą bomby na nich i na kaplicę. Sowieckie samoloty zrzuciły kilka bomb, zniszczyły mostek, potem się oddaliły. Ludzie powrócili. W ciszy wszyscy przyjęli Komunię świętą. Msza dobiegła końca. Ksiądz, staruszek, po komunii spożywał komunikanty płacząc...

Wróciłam do rozmównicy, aby się pożegnać z księżmi pallotynami. Tu nastąpiła nieoczekiwana scena. Nasz ksiądz kapelan panicznie bał się bolszewików. Gdy się od księży dowiedział, że ci się zbliżają, błagał, aby pallotyni zabrali go ze sobą. Byłam przerażona, bo się zgodzili. Jak?! – myślałam gorączkowo – jakże zabrają tego starego człowieka, mając do dyspozycji tylko trzy konie! Sytuacja była wręcz absurdalna! Nie mogłam do tego dopuścić. Wywiązała się gorąca dyskusja, aż wreszcie postawiłam na swoim: ksiądz wrócił do swego pokoju.

Już dłużej nie można było utrzymać tajemnicy. Po odmówieniu naszych modlitw, powiedziałam siostrze o wszystkim, polecając, aby się zastanowiły, co dalej zamierzają robić. Wszystkie zdecydowały się pozostać – prosiły tylko o spowiedź. Z tą prośbą poszłam do księdza kapłana, który chodził nerwowo po pokoju. Widać było, jak walczy ze sobą, ze strachem i poczuciem obowiązku. Wreszcie, gdy powtórzyłam mu prośbę sióstr, od razu zachowanie jego uległo zmianie.

– Dobrze – powiedział – zaraz przyjdę.

Odetchnęłam. Po wypowiedzianiu sióstr, ksiądz ukląkł przed ołtarzem i znów nastąpiła przejmująca scena: Zaczął się głośno oskarżać o małoduszność, o brak zaufania do Boga, o to, że chciał opuścić siostry powierzone jego duszpasterskiej opiece i wszystkich ludzi pozostawić bez pociech religijnych. Było to tak wstrząsające, że zatykałyśmy sobie uszy, nie chcąc słyszeć tych samooskarżeń spowodowanych chwilą słabości i załamania, co było jedynym tego rodzaju wypadkiem w nieskazitelnym życiu kapelana.

Po tych burzliwych przeżyciach niedziela dobiegała do końca. Ale od tej pory coraz to nowe wydarzenia ustawicznie podkopywały nasz spokój. Byłyśmy w ciągłym oczekiwaniu pojawienia się wojska sowieckiego. Nie sypiałyśmy po nocach, każdy szelest budził nas i przerażał.

Stosunki i nastroje w miasteczku wyraźnie się zmieniły. Przede wszystkim uciekła polska policja, uciekł też dotychczasowy wójt. Na ich miejsce pojawili się jacyś budzący nieufność osobnicy z czerwonymi opaskami na ramieniu. Komendantem tej niby-służby bezpieczeństwa został pewien dobrze mi znany, młody człowiek – Pietrek. Do niedawna był kimś w rodzaju gońca w gminie, przychodził do nas z różnymi sprawami, więc miałam z nim częste kontakty. Jego dziecko chodziło do naszego przedszkola. Teraz Pietrek stał się „władzą” i to zupełnie przewróciło mu w głowie.

Miałyśmy jednak wielu przyjaciół wśród tej ludności, tak bardzo niejednorodnej – na wsiach przeważali Białorusini, w miasteczku Żydzi, a wśród nich była garstka Polaków, przeważnie osadników.

Pewnego wieczoru przyszedł jakiś nieznany nam młody człowiek i podczas długiej rozmowy wytłumaczył mi, że ludzie postanowili strzec nas przed ewentualnymi ekscesami, że co noc będzie chodzić koło naszego domu warta, abym tylko pożyczyla dwa kożuchy i latarki elektryczne, które każdego rana będą zwracane. Początkowo odmówiłam, bojąc się, że po prostu chodzi o kradzież kożuchów. Ale chłopak tak żarliwie zapewniał, że przyszedł w uczciwych zamiarach, że chodzi tylko o nasze bezpieczeństwo, iż wreszcie się zgodziłam.

Od tej pory dwóch ludzi chodziło co noc wokół domu. I dobrze się stało, bo byłyśmy bardzo osamotnione w tym czasie – wielu ludzi uciekło, miasteczko się wyludniło, Polaków zostało już bardzo niewielu, mogły się więc zdarzać rabunki.

Wojsko sowieckie było już wszędzie w okolicy – myśmy się z nim jeszcze nie zetknęły, tylko coraz bardziej dawało się odczuć, że jesteśmy pod okupacją. Zmieniły się władze administracyjne: na miejsce wójta, który uciekł, wszedł jakiś Białorusin. Stopniowo zaczynały się represje.

Jeden z funkcjonariuszy gminy przekazał mi wiadomość, że na zebraniu w Nowogródku, postanowiono zabrać nasz dom na gimnazjum dla białoruskich dzieci (dotychczas znajdowało się ono w Wilnie). Człowiek, który mi o tym doniósł, pracował u nas niedawno przy remoncie zamku i chociaż z przekonania komunista, powiedział mi o tym, aby nas ta eksmisja nie zaskoczyła. Podobno nikt z mieszkańców Lubcza, komunistów, nie miał odwagi mi tego zakomunikować. W końcu postanowiono, że przyjedzie z Mińska specjalnie w tym celu delegowany inspektor. Tak też się stało – zjawił się u nas i oznajmił tę decyzję. Zobaczyłam się z nim jeszcze na drugi dzień rano, gdy odjeżdżał. Żegnając go, uskarżałam się, że nasz dom, z takim wysiłkiem urządzony i tak potrzebny, zostanie nam zabrany. Odpowiedź inspektora była nieoczekiwana:

– Niech pani nie narzeka; wam nie jest jeszcze tak źle, jak nam.

– Jak to? – spytałam.

– No tak, bo ja choć mam żonę i czworo dzieci, mieszkanie i zarobek, żyję w ciągłym lęku i niepewności. Nam jest o wiele gorzej niż wam.

Była to znamienita odpowiedź i można z niej było wiele wyczytać...

Od tej pory byłyśmy ciągle zaniepokojone sprawą domu. Nachodzili nas rozmaici funkcjonariusze w czerwonych opaskach, przynaglając do wyprowadzenia się. Wobec tego prosiłam, aby przydzielono nam jakiś zastępczy dom, gdzie mogłybyśmy się przenieść. Miałyśmy u siebie wiele ludzi: oprócz sióstr i stałego personelu były jeszcze rodziny owych siedemdziesięciu oficerów z Białegostoku, byli uchodźcy, a na dobitkę zaczęły się do nas zgłaszać z prośbą o przyjęcie do domu rodziny mężczyzn zabranych do wojska. Biedni ludzie! Zaledwie udało mi się im wytłumaczyć, że bezpiecznijsi będą we własnych domach niż w naszym, który lada dzień miałyśmy utracić. Ciężkie to były dni, bo nie wiedziałyśmy, kiedy i dokąd trzeba będzie się wynosić, a tu jeszcze pełno ludzi potrzebujących opieki! Wśród nich znalazło się dwóch mężczyzn: oficer KOP-u (Korpus Ochrony Pogranicza) i jego towarzysza. Obaj przyszedli w mundurach, wynędzniali, poranieni i z poodparzanymi stopami. Uciekli przed bolszewikami, zaskoczeni przez nich podczas służby na granicy i z trudem dotarli po kilku

dniach do nas. W domu było także sporo broni, którą przywiozły ze sobą żony oficerów z Białegostoku. Co z tym wszystkim począć w razie przeprowadzki?...

Dom zastępczy, który nam zaoferowano, okazał się ruiną nie do przyjęcia, więc odmówiliśmy. Podobnie zrobiliśmy, gdy wskazano nam drugi budynek – ten również niemożliwy do zamieszkania.

Tak więc grałyśmy na zwłokę, ale długo nie mogło to trwać. Do naszego domu – bez pytania – weszli robotnicy, przysłani przez „władzę” i zaczęli gospodarować: zabrali się do przeróbek, do odbudowy nie zajętych pomieszczeń, słowem – zaczęli przystosowywać zamieszkały przez nas dom dla potrzeb szkoły. Trzeba więc było zacząć likwidację placówki. Ale dokąd pójść?

Chciałyśmy bardzo pozostać na miejscu, w Lubczu, lecz coraz jaśniej widziałyśmy, że było to niemożliwe. Nie było już na świecie naszej najlepszej Matuchny, która na pewno przysłałaby nam z pomocą w podjęciu decyzji. Mogłyśmy więc oprzeć się tylko na ostatnich jej radach, jakich nam przed śmiercią udzieliła – na wypadek wybuchu wojny. Przede wszystkim zezwoliła siostronom na ewentualny powrót do ich rodzinnych domów, a poza tym przydzieliła naszą placówkę do Czarnego Boru, gdzie również był duży ośrodek pracy Zgromadzenia. W razie konieczności miałyśmy się tam udać. Czarny Bór była to wieś w powiecie trokowieńskim, oddalona dwanaście kilometrów od Wilna.

A tu spadła na nas nowa niespodzianka: rewizja! Cały dom został otoczony, a do środka wszedł... Pietrek w asyście kilkunastu osób w czerwonych opaskach, z bronią na ramieniu. Historia zupełnie nieprawdopodobna! Musiałam ich oprowadzić po całym domu, drżąc ze strachu, co będzie, jeśli znajdą tych nieszczęśników z KOP-u. O to, że znajdą broń, nie bałam się, bo została ona umiejętnie zdemontowana przed kilkoma dniami, a mianowicie młody ślusarz, były wychowanek Matuchny jeszcze z czasów jej pobytu w Danii, zatrudniony obecnie u nas, poradził mi, żeby tak właśnie zrobić. Powykręcał różne drobne części, utopił je w Niemnie, a broń stała się bezużyteczna. Ukryć tej broni nie mogłyśmy, bo wszyscy widzieli, jak była do nas przywieziona wraz z bagażem rodzin oficerskich. Jej brak wzbudziłby podejrzenia i jeszcze większe poszukiwania.

Pozornie spokojna, prowadziłam więc Pietrka po wszystkich pokojach, obawiając się o tych ludzi z KOP-u. Najpierw przeprowadzili rewizję u rodzin wojskowych. Nie znaleźli nic podejrzanego. Broń zabrali.

Kiedy dochodziliśmy do pomieszczeń klauzurowych, zdjęłam tabliczkę z napisem „klauzura”, bo byłam pewna, że tam wejda. Ale tu spotkała mnie niespodzianka. Pietrek wiedział, że tam się nie wchodzi i mimo mego zezwolenia nie wszedł do pomieszczeń klauzury!

Doszliśmy wreszcie do drzwi pokoju, gdzie byli owi dwaj chorzy. Przeszłam mimo drzwi, jak gdyby nic, ale tym razem Pietrek nie okazał się pobłażliwy i uprzejmy. Wręcz przeciwnie, stanął przed drzwiami, zaczął walić karabinem w podłogę i krzyczał w moim kierunku:

– Wrócić, wrócić!

Nie straciłam zimnej krwi, odwróciłam głowę i powiedziałam do niego:

– Jak ty się zachowujesz, Pietrek? To do mnie tak się zwracasz? Wcale się tego nie spodziewałam! Opamiętaj się!

Po otwarciu drzwi okazało się, iż dwaj mężczyźni wyszli niepostrzeżenie i – jak za chwilę zobaczyłam – usiłowali zmieszać się z dużą grupą naszych mieszkańców, którzy stali na podwórzu. Zostawili jednak mundury. Z wielkim trudem udało mi się jakoś wybrnąć z tej opresji. Pietrek wiedział, kto był w naszym domu, orientował się, że dwaj chorzy gdzieś się skryli i koniecznie chciał, abym mu ich wskazała. Miał widocznie jednak dla mnie jeszcze resztki respektu, bo po długiej perswazji, która kosztowała mnie wiele nerwów, przyrzekł, że nie będzie poszukiwał zbiegów. Co więcej, udało mi się wymóc na nim, że pozwoli spokojnie wyjechać wszystkim mieszkańcom naszego domu. To było wielkie zwycięstwo, bo gdyby chciał, mógłby nas wpędzić w wielkie nieszczęście.

Należało więc czym prędzej zorganizować wyjazd zarówno rodzin wojskowych z Białegostoku, jak i uchodźców, a razem z nimi przemycić tych dwóch funkcjonariuszy KOP-u. Ale do tego były potrzebne indywidualne przepustki. I znów byłam zmuszona przekonywać Pietrka, że musi mi je wydać. Jednak wypisanie takiego mnóstwa przepustek wyraźnie przekraczało jego możliwości. Dlatego się opierał. Więc zaryzykowałam:

– Słuchaj – powiedziałam do niego – daj mi te przepustki nie wypełnione. Przecież wiesz, że ja cię na pewno nie oszukam; wypiszę je tylko dla tych, którym pozwoliłeś wyjechać.

Pietrek zgodził się na moją propozycję i dał mi cały potrzebny plik druczków *in blanco*. Był to rzeczywiście niezwykle dowód zaufania.

Cała ta historia kosztowała mnie wiele nerwów i jeszcze przez długi czas nie mogłam wrócić do równowagi. Starłam się jednak jak najszybciej wyprawić wszystkich z domu. Ludzie wyjechali więc do Białegostoku i do innych miejscowości, a my zostałyśmy same. W domu coraz bardziej panoszyli się robotnicy, przerabiając go na użytek szkoły. Każdy niemal dzień przynosił nowe niespodzianki i grunt już zaczynał się nam palić pod nogami.

Raz przyszli sowieccy żołnierze i zarekwirowali nam konia. Był to dla nas impuls do likwidacji żywego inwentarza. Krowy chcieli kupić od nas Żydzi – trzeba było je sprzedać. Zdumiewało nas, jak Żydzi szli nam na rękę. Najpierw, o czym już wspomniałam, ten rabin, organizujący zbiórkę żywności, a teraz znowu ci, którzy zaproponowali, że za krowy zapłacą złotem! Była to zupełnie niezwykła propozycja. Nie przyjąłam jednak złota, wołałam zwykłą gotówkę.

I jeszcze jeden fakt. Oto jeden z Żydów zaproponował mi schronienie w domu – lokal tak zamaskowany, że mogłybyśmy się tam ukryć we trzy w razie konieczności. Wtedy go prosiłam, aby raczej w Nowogródku urządzili dla nas mieszkanie (bardzo pragnęłam pozostać po likwidacji naszego domu w pobliżu, w Nowogródku, z jakąś nieokreśloną nadzieją, że te wszystkie nieszczęścia szybko się skończą i że może uda się powrócić na stare miejsce). Przygotowali nam zatem taki lokal, ale nie skorzystałyśmy z niego, bo sprawy potoczyły się inaczej. Jednak ta życzliwość i chęć pomocy okazana przez Żydów wzbudziła naszą wielką wdzięczność.

Dopomagali nam też i inni. Na przykład przy likwidacji trzody chlewnej – ludzie z miasteczka sami dokonali całej pracy przy uboju i przerobie mięsa. Nie chcieli wziąć za to żadnej zapłaty - ani w naturze, ani w pieniądzu. Niedługo potem zabrałyśmy tę żywność ze sobą do Czarnego Boru.

Krótko przed moim wyjazdem z Lubcza miało miejsce jeszcze takie wydarzenie. Zjawił się u mnie wysłannik z gminy, ten, który objął miejsce dawnego wójta i zażądał rozmowy w cztery oczy. Ni mniej ni więcej tylko „komisarz” zaproponował mi pozostanie w Lubczu z dwiema jeszcze siostrami. Chciał, żebyśmy objęły pracę na miejscu – po otwarciu białoruskiego gimnazjum. Różnymi sposobami usiłował wyrzucić na mnie presję. Obiecywał zarówno wszelką pomoc pieniężną, jak i opiekę władz bolszewickich, jeżeli tylko zgodzimy się na współpracę z nimi. Oczywiście kategorycznie odmówiłam. „Komisarz” nie dawał za wygraną - widać było, że chce nas użyć do jakiś ukrytych celów, gdyż miałyśmy wielki szacunek u ludzi. Okazało się, że przeczucia mnie nie myliły. „Komisarz” zupełnie wyraźnie mi to powiedział:

– Chcemy, żebyście z nami pracowały, bo wiemy jak was tu ludzie szanują. Widzieliśmy waszą pracę przez te lata i rezultaty tej pracy. Za głęboko wrosłyście w serca tego ludu. Jeżeli was ruszymy - wszyscy będą przeciwko nam. Jeżeli z nami zostanieie, to ludzie będą i dla nas życzliwi, a nam na tym bardzo zależy.

Potem, widząc, że na mnie to nie robi wrażenia, rozłościł się i bijąc pięścią w stół, krzychał:

– Nie patyczkowałibyśmy się tu z wami i nie zabiegali o waszą pomoc, żeby nie to! Moglibyśmy was zgnieść i zniszczyć! Proszę się dobrze namyślić i zastanowić, bo może być źle. Czy pani wie, że jest w moim ręku, że może nie wyjść z tego pokoju?

Mówiąc to, wsunął rękę do kieszeni. Nie ukrywam, że mnie to bardzo przeraziło, ale i tym razem dałam odpowiedź przeczącą. Wiedziałam, ile ryzykuję. Zdobyłam się jeszcze na to, by zaproponować „komisarzowi”, ażeby obsadził potrzebne mu stanowiska osobami ze swojej najbliższej rodziny. Wtedy wpadł w furję. Opuścił dom trzaskając z całej siły drzwiami. Rozmowa trwała dwie godziny i tak mnie wyczerpała nerwowo, że siostry, nie wiedząc, co się dzieje, były przerażone.

Widocznie jednak „komisarz” bał się wprowadzić w czyn swoje pogróżki, właśnie przez wzgląd na ludzi, bo nic złego z jego strony nas nie spotkało. Należało jednak śpieszyć się z wyjazdem i nie przeciągać struny. Toteż większa część sióstr wyjechała po paru dniach, zabierając ze sobą, co się dało, z prowiantu i wyposażenia domu.

Sama nie szykowałam się do wyjazdu. Zamierzałam pozostać w Nowogródku, aż tu nagle telefon z Czarnego Boru wezwał mnie, abym niezwłocznie przyjechała do siostry przełożonej w ważnej sprawie. Pojechałam natychmiast, nie przeczuwając, że już do Lubcza nie wrócę. Siostra przełożona Januskiewicz zatrzymała mnie w Czarnym Borze, zaniepokojona wydarzeniami w Lubczu, o których jej opowiedziały siostry, przybyłe w pierwszej grupie. Bała się jednak pogroźek „komisarza” i jego ewentualnej zemsty.

Zostałam więc już w Czarnym Borze, a likwidacją reszty naszego dobytku w Lubczu zajęła się siostra Aniela Leszczyńska. Nasz zacny ksiądz kapelan pozostał z nami do ostatka. Miał jechać do Białegostoku, do kogoś z rodziny. Widać było jednak, że nie miał na to wielkiej ochoty. Z nami jechać nie

chciał bojąc się – jak mówił – że będzie nam tylko ciężarem. W końcu jednak udało się go namówić, aby nam towarzyszył i niejednokrotnie okazał się dla nas wielkim oparciem i pomocą.

Wkrótce po tych wypadkach byliśmy już wszystkie w Czarnym Borze. Z bólem serca pozostawiłyśmy ten piękny zakątek, tak przez nas wypielęgnowany, który na tamtejszym terenie niósł wszystkim pomoc i ulgę w tych ostatnich, koszmarnych dniach. Przybyliśmy do Czarnego Boru w dzień imienin naszej zmarłej Matki Założycielki, Urszuli Ledóchowskiej, 21 października 1939 roku.

Pociechą w smutku i goryczce była myśl, że przez cały czas pobytu w Lubczu udało się nam skierować wiele osób do Boga, a pracą – zdobyć szacunek dla Zgromadzenia, co było z pożytkiem i dla naszej wiary, i dla Kościoła.

Pamiętam kilka wydarzeń, które świadczyły o tym, że to Bóg kierował naszymi poczynaniami. Niektóre z nich były doniosłe, inne mniej ważne, ale wszystkie miały ten sam skutek: przyciągnięcie ludzi do Kościoła.

Najpodatniejsze były dzieci. Nieraz się zdarzało, że przychodziły do nas dzieci prawosławne, chłopcy i dziewczynki, które chciały się bawić z naszymi wychowankami i dobrze się tu czuły. Niestety, tamtejszy pop, choć w gruncie rzeczy nam życzliwy, nie pozwalał jednak im do nas przychodzić. Raz chodziło o grupę dziewcząt, to znów o chłopców. W końcu zniecierpliwiony zagroził, że kto będzie chodził do sióstr, temu zabroni chodzić do cerkwi. Trzeba było widzieć ich radość z tego powodu! Cieszyły się, że skoro nie mają chodzić do cerkwi, to mogą przychodzić do nas. Ubawiło nas stanowisko popa. Patrzyliśmy na całą sprawę z pobłażaniem – nie wywierałyśmy żadnej presji. Najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że wkrótce sam pop uległ i... stał się naszym gościem.

Urządzałyśmy często przeróżne zabawy, obchody rocznic, świąt, jasełka itp. Schodzili się wtedy wszyscy: dzieci, młodzież i dorośli. Nieraz musieliśmy te imprezy powtarzać.

Na jednym z takich przedstawień znalazła się kilkuletnia córeczka popa, która przyszła prawdopodobnie w tajemnicy przed ojcem, wraz ze swoją wychowawczynią. Dziecko, które po raz pierwszy widziało te sceniczne popisy, wróciło do domu podniecone i zachwycone tak dalece, że się to aż na zdrowiu dziewczynki odbiło. Nie chciała jeść, zachowywała się nerwowo i ciągle prosiła, aby mogła jeszcze raz przyjść do nas. Cóż było robić? Oglądała inne nasze przedstawienia, nie wiem, czy za aprobatą ojca, czy również w tajemnicy przed nim – ale z wychowawczynią. Na koniec uprosiła matkę, że i ona również musi „grać” na scenie u sióstr, no i otrzymała pozwolenie. Przyszła więc do nas, a szykowałyśmy właśnie nowe widowisko. Otrzymała w nim rolę motyla. Uszyto dla niej piękny kostium z kolorowymi skrzydłami. Mała nie posiadała się z radości! Byłam bardzo ciekawa, czy któreś z jej rodziców zjawi się na tym przedstawieniu. Na wszelki wypadek poleciłam siostrze, aby odbyło się ono w naszym ogrodzie, na wolnym powietrzu. Za pierwszym razem przyszła z matką. A na powtórzenie widowiska – o, dziwo – zjawił się sam pop. Jakoś od tej pory pozbył się skrupułów i patrzył przez palce na wspólne zabawy dzieci prawosławnych z naszymi. Zapanowała przyjazna atmosfera, krok do wzajemnego zbliżenia został zrobiony. Najszczęśliwsza z tego powodu była mała córeczka popa – siostry oczywiście też.

Zdarzyło się także kilka przypadków nawróceń: prawosławni przechodzili na katolicyzm. Jeden z takich przypadków nastąpił w zupełnie niecodziennych okolicznościach, więc go tu opiszę.

Żona kierownika szkoły powszechnej była osobą bardzo pobożną. Znałyśmy ją i lubiły jako bardzo zającą kobietę. Nieraz wyczuwałyśmy w rozmowach, że pociąga ją wyznanie rzymskokatolickie, nie było jednak mowy o przejściu do naszego Kościoła. Rozstałyśmy się z panią W., gdy jej mąż został przeniesiony na inną placówkę. Mieszkali w Baranowiczach.

Otóż pewnego razu pani W. postanowiła pójść do popa do spowiedzi i to koniecznie tego właśnie dnia – miała jakąś swoją ważną intencję. Męża nie było w domu, wyjechał na parodniowy kurs nauczycielski, została więc w domu tylko z synem. Tego dnia (a było to akurat święto Bożego Ciała), wstała bardzo wcześnie chcąc zdążyć ze spowiedzią, zanim trzeba będzie powrócić do domu, obudzić syna i wyprawić go do kościoła. Musiała tak zrobić, ponieważ pop spowiadał tylko wcześniej rano, a potem już nikogo nie przyjmował.

Kiedy miała już wychodzić z domu, zatrzymała ją sąsiadka, która przyprowadziła kupioną u niej kozę, musiała więc wrócić, zająć się kozą, ulokować ją i nakarmić. Załatwiwszy tę sprawę, mocno już spóźniona, szybko wybiegła z domu. I znów zatrzymuje ją nowa przeszkoda: zjawia się listonosz z depeszą od męża, który prosi o wyszukanie jakiejś książki i jak najszybsze jej wysłanie, ponieważ na kursie jest mu niezbędna. Znów więc musi zatrzymać się w domu, wyszukać książkę, zapakować ją do wysłania, ale już orientuje się, że nie zdąży przed wyprawieniem syna do kościoła odbyć spowiedzi.

Zmienia więc plan: budzi chłopca, choć jeszcze trochę za wcześnie, poleca mu ubrać się i szykuje śniadanie licząc, że wyjdzie z nim i może jeszcze zdąży na czas do cerkwi. Chłopak jednak marudzi, nie chce wstawać, a czas nieubłaganie ucieka. Nareszcie wychodzą razem - ona do cerkwi, chłopiec do kościoła.

Śpiesząc się, bo już bardzo późno, pani W. napotkała na swej drodze nową „przeszkodę” – oto trafiła na procesję Bożego Ciała i tak dziwnie się złożyło, że znalazła się naprzeciwko księdza, twarzą w twarz z monstrancją... Gdy przeczekała przejście procesji, pobiegła dalej. Dziwnym trafem jednak jej droga znowu skrzyżowała się z procesją, która szła do następnego ołtarza. I znowu ujrzała na wprost siebie monstrancję z jaśniejącą w słońcu Hostią.

Napełniło ją to jakimś dziwnym uczuciem, jakimś niedającym się określić niepokojem, i tym goręcej pragnęła zdążyć do spowiedzi. Gdy była już blisko celu, stanęła zupełnie oszołomiona. Spoza rogu ulicy po raz trzeci wyszła jej naprzeciw Hostia niesiona w monstrancji przez księdza! Tym razem musiała dość długo czekać, bo ksiądz zbliżał się do ołtarza. W ten sposób stała się mimo woli uczestniczką katolickiego nabożeństwa przy ostatnim ołtarzu w uroczystość Bożego Ciała.

Oczywiście potem się okazało, że jest już zbyt późno na spowiedź. Przyszła do cerkwi za późno. Mimo próśb i tłumaczeń, że nie z własnej winy się spóźniła, pop odmówił spowiedzi i wyszedł z cerkwi.

I wtedy doznała olśnienia. Zrozumiała, że te wszystkie przeszkody nie były dziełem przypadku, że to chyba sam Bóg zastępował jej drogę i Hostią świętą wskazywał kierunek, w jakim ma iść... Zdecydowała się natychmiast. Pobiegła do kościoła, poprosiła spotkanego księdza o spowiedź, opowiedziała to wszystko, co ją, prawosławną, do tego kroku skłoniło, po czym z wielkim wzruszeniem przystąpiła do Komunii świętej. Dzień Bożego Ciała... Jakimiż to dziwnymi drogami Chrystus dociera do człowieka!

Pani W. napisała potem do mnie długi list. Opisując to zdarzenie donosiła, że czuje się bardzo szczęśliwa i przywiązana do Kościoła. List był tak wzruszający, że do dziś pamiętam jego treść, pełną żarliwości i szczęścia.

Gdy teraz to wszystko sobie przypominam – te czasem drobne, czasem głębsze w wymowie fakty – wierzę mocno, że nasz pobyt w Lubczu wydał nadspodziewanie dobre owoce, których nawet nie przeczuwałyśmy. Wierzę, że było to za sprawą opieki Bożej i że Bóg kierował każdym naszym krokiem, a wszystko prowadziło do zapalania światła prawdy i miłości w duszach ludzkich.

2. POBYT W CZARNYM BORZE (1939–1941)

Przyjechałam do Czarnego Boru, jak już wyżej wspomniałam, 21 października 1939 roku, na kilka dni przed objęciem Wilna i okolicy przez Litwinów.

Przełożoną naszej placówki była siostra Annucjata Januszkiewicz. Wspólnota była duża, liczyła 70 sióstr. Pod naszą opieką przebywało 90 dzieci – sierot mieszkających w osobnych domach. Ponadto schroniły się tu, oprócz sióstr z Lubcza, także siostry z placówki Horodyszczce na Polesiu oraz wielu uchodźców uciekających przed niemieckimi bombami w czasie, gdy Niemcy ogarniali już całą Polskę. Wskutek tak znacznego napływu ludzi część sióstr musiała się rozlokować i mieszkać w prywatnych domach polskich.

Zarząd litewski umacniał się coraz bardziej na ziemi wileńskiej, a że Litwini pałali nienawiścią do Polaków, zewsząd dochodziły do nas okropne wieści o znęcaniu się nad ludnością. Dowiedziałyśmy się również, że wywożą polskie dzieci, dlatego też i my przygotowałyśmy się na podobną ewentualność. Cała akcja zorganizowana była w ten sposób, że każde dziecko miało adres rodziny, u której miało się schronić, a każda z rodzin знаła imiona i nazwiska dzieci, które miały do niej przybyć w razie niebezpieczeństwa wywozu dzieci.

Obawy nasze nie były bezpodstawne. Już wkrótce zjawiała się u nas Litwinka z żądaniem, aby wszystkie dzieci jej oddać. Siostra przełożona nie zgodziła się na to. Na razie dano nam spokój, ale sytuacja była krytyczna: byliśmy pozbawione środków do życia, znikąd żadnej pomocy finansowej, a wydatki na tak wielką ilość osób były duże.

Niedaleko naszego ośrodka powstała kopalnia torfu. Przyszło mi na myśl, czy siostry nie mogłyby zarabiać przy wydobywaniu torfu. Zarząd kopalni przyjął propozycję i siostry poszły do pracy. Dzięki zdobytym w ten sposób pieniądзом, mogłyśmy dalej utrzymywać nasz zakład a w nim i naszych podopiecznych.

Sytuacja jednak stale się pogarszała. Po paru miesiącach przydzielono nam „komisarza”, który objął sierociniec, sprowadził własny personel administracyjny i gospodarczy (z wyjątkiem kucharki), a siostry wraz z przełożoną musiały opuścić teren zakładu.

Któregoś dnia zjawił się pewien Litwin żądając od siostry przełożonej, aby zabroniła okolicznym mieszkańcom przychodzić do naszej kaplicy. Ta odparła, że kaplica nie jest wyłącznie naszą własnością. Przeciwnie, to miejscowi ludzie świeccy, swoimi ofiarami, dopomogli do jej zbudowania. W żadnym przypadku nie można zabronić nikomu przychodzenia na Mszę świętą. Gdy polska ludność dowiedziała się o tym, przychodziło na nabożeństwo tak wiele osób, że nie tylko kaplica, ale cała przestrzeń przed nią była zatłoczona. Wówczas Litwini zabrali nam dom łącznie z kaplicą, choć kaplica nadal była czynna.

Stosunki Polaków z Litwinami stale się pogarszały. Litwini występowali coraz agresywniej, okrutniej, oskarżając Polaków, że sami są winni takiemu stanowi rzeczy, co było oczywistym kłamstwem.

15 czerwca 1940 roku Rosjanie z powrotem zajęli Wilno i rozpoczęły się rządy sowieckie. Ucisk się zwiększył, sytuacja bardzo się zaostrzyła.

Zarząd sowiecki postanowił zabrać nasz dom w Czarnym Borze, w którym mieszkali uchodźcy [siostra Monika Alexandrowicz była kierowniczką tego punktu uchodźców, który mieścił się w domu pod nazwą *Gwiazdy Zarannej* w Czarnym Borze pod Wilnem – przyp. red.] i urządzić tam swój klub „Czerwony Kącik” (*Krasnyj Ugołok*). Jakoś jednak tego nie zrobiono, a dom istniał nadal. Może liczone na to, że pozbawione funduszków i zapasów, same zlikwidujemy tę opiekuńczą placówkę. My jednak z uporem zdobywałyśmy pieniądze pracą, choć istotnie, zapasy się wyczerpywały, groził nam głód. Zdobyć żywność w sklepach, mimo posiadanych pieniędzy, było bardzo trudno. Sprzedawano tylko po pół kilograma mąki lub kaszy. Siostry, żeby uzyskać wystarczającą ilość tych produktów, musiały więc obejść wszystkie sklepy, kupując wszędzie po pół kilo.

W tym czasie, jakby zesłany przez Boga, zjawił się u mnie jakiś nieznanym mężczyzna. Podczas rozmowy w cztery oczy powiedział mi, że nazywa się Arciszewski (był to znany w Polsce działacz PPS). Pan Arciszewski zaproponował stałe dostarczanie pieniędzy na potrzeby uchodźców, oczywiście konspiracyjnie. Miałam się co pewien czas zgłaszać do apteki Augustowskiego w Wilnie i tam prosić o sprzedaż buteleczki jodyny. Otrzymywałam jodynę i wychodziłam z apteki. Wówczas wy-

chodził również pewien człowiek, który idąc parę kroków przede mną, prowadził mnie do aktualnej kryjówki pana Arciszewskiego, a ten z kolei za każdym razem wręczał mi spore kwoty.

Byłoby może i długo to trwało, gdyby nie fakt, że Rosjanie zaczęli masowe wywożenie uchodźców w głąb Rosji.

Ta tragiczna akcja rozpoczęła się dnia 14 czerwca 1941 roku. Z naszego domu zabrano wszystkich uchodźców, nawet chorą kobietę, która przed dziesięcioma dniami urodziła dziecko. Wszystkich w brutalny sposób ładowano na ciężarówki. Stało ich na ulicy kilkanaście. Długo to trwało, zanim uformowała się cała kolumna.

W tym czasie zjawiał się u nas jakiś człowiek i zaczął wypytywać siostry o ich nazwiska. Kiedy powiedziałam swoje, ów człowiek kazał mi iść za sobą. W ten sposób i ja również trafiłam do wywożonej kolumny jako aresztantka.

Po kilku godzinach oczekiwania, wśród tumultu i złorzeczeń, kolumna nasza wyruszyła w drogę. Miejscowa ludność, poznając nas i wiedząc, co nas czeka, dawała wyraz swemu oburzeniu i bezsilnej pasji: rzucała w naszą eskortę, czym się dało: leciały butelki, kamienie itp. Starano się też nam pomóc. Z piekarni rzucano nam chleby, znajomy rzeźnik zrobił wielką pakę serdelków, która trafiła do naszej ciężarówki. Ta spontaniczna reakcja i współczucie były wzruszające.

Zawieziono nas do Nowej Wilejki, gdzie załadowano wszystkich do wagonów towarowych. Mnie jednak oddzielono od uchodźców, których wepchnięto do innego wagonu. W tym momencie straciłam z oczu naszych dotychczasowych podopiecznych i nie wiem, co się dalej z nimi działo.

Kazano mi wejść do wagonu po oślizłej desce. Gdy nie mogłam sobie poradzić i ciągle się zsuwałam, konwojent pchnął mnie z całej siły, tak że wpadłam do ciemnego wnętrza wagonu opierając się na rękach i na kolonach. Ręce miałam potwornie powalane. Uderzył mnie przykry zapach. Zrozumiałam: tuż przede mną znajdował się duży otwór w podłodze, służący jako ubikacja.

Podniosłam się i odruchowo powiedziałam głośno: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Ci che głosy odpowiedziały mi z wagonu. Wtedy podeszła do mnie młoda dziewczyna, zainteresowała się mną, pomogła oczyścić ręce z okropnej mazi i niejako zainstalowała mnie wśród towarzyszy niedoli. Była nią Tola (Teodora Sychowska), z którą potem połączyło mnie niejedno przeżycie.

Gdy oczy trochę przywykły do ciemności, zauważyłam, że połowę wagonu oddzielają czarne zasłony. Były to pospinane chustki sióstr nazaretanek z Grodna, które przy pomocy tej prowizorycznej kotary chciały choć trochę odizolować się od ludzkich oczu.

Postój w Nowej Wilejce trwał trzy dni. W tym czasie starałyśmy się jakoś „urządzić” na dalszą podróż, przewidując, że potrwa ona długo, i że nie mamy co liczyć na pomoc ze strony naszych „opiekunów”.

U góry wagonu znajdowały się małe okienka. Wspięłam się po desce do jednego z nich. Na drodze kręciło się wiele osób – może krewnych, a może tylko chcących nieść pomoc więźniom. Osoby te podawały mi różne przedmioty, które na sznurku wciągałam przez okienko do wagonu. Były tam między innymi dokumenty (na przykład zezwolenie na złożenie ślubów zakonnych dla sióstr nazaretanek).

To „stanowisko” przy okienku dało i mnie możliwość poprawienia własnej sytuacji. Spostrzegłam bowiem młodą dziewczynę, która chodziła wzdłuż wagonów i pytała więźniów, czego potrzebują, jak im pomóc, co przynieść. Trochę się obawiałam, że może to być prowokacja, ale przecież nic już nie miałam do stracenia. Poprosiłam ją więc, aby w jakiś sposób zawiadomiła siostry w Wilnie o moim losie oraz aby siostry przysłały mi ciepłe ubranie. Wszak zostałam zabrana tylko w cienkim habicie i w ażurowych sandałach.

Moja prośba miała nadspodziewany rezultat. Dziewczyna okazała się dzielną łączniczką. Nie wiem, jak dotarła do Wilna, jak odnalazła siostry, ale wczesnym rankiem zjawiała się przy moim wagonie siostra Stanisława Dudelo z olbrzymim tobołem rzeczy. W chwili kiedy rozsunięto drzwi wagonu, wrzuciła mi ten toboł do wnętrza. Jednak dozorczy nas żołnierz natychmiast, jednym kopnięciem nogi wyrzucił go z wagonu. To jednak nie zraziło siostry Stanisławy. Przez cały czas, aż do naszego odjazdu, stała przy wagonie usiłując podać mi przyniesione rzeczy. Za każdym razem sytuacja się powtarzała: wrzucany do wagonu toboł wędrował z powrotem na zewnątrz. Wreszcie – przed samym wyjazdem – udało się! Pociąg miał już ruszyć, kiedy drzwi w wagonie otworzyły się dla wpuszczenia jeszcze jednej ofiary. Wraz z nią wylądował toboł siostry Stanisławy. Tym razem konwojent rozejrzał się uważnie wokoło, sprawdził, czy nikt nie widzi, zatrasnął drzwi i pchnął toboł dalej, do wnętrza

wagonu. W ten sposób, dzięki niezłomnej siostrze Stanisławie, stałam się posiadaczką ciepłego kożucha, pięciu koców, bielizny i wielu innych, potrzebnych rzeczy oraz prowiantu.

W drugim dniu postoju w Nowej Wilejce przybyła do naszej gromadki siostra Imelda Tobolska z Wilna. Ją również aresztowano bez powodu. Dostała się do tego samego wagonu co ja i odtąd już los nasz był ze sobą związany na długie lata tułaczki, na złą i dobrą dolę.

3. W OBOZACH ZSRR (1941–1942)

Nareszcie wyruszyliśmy w tę okropną podróż. Zaduch w wagonie był straszny, tym bardziej, że na dworze panował upał. Z wielkim trudem można było oddychać.

Jechaliśmy do Starobielska. Podczas drogi, która wlokła się około dziesięciu dni, pociąg stawał na długie godziny. Nazw stacji nie znałyśmy. Na postojach pociągi nasze ustawiano przeważnie obok siebie – na sąsiadujących torach – co wzmagało jeszcze upał i zaduch.

Któregoś dnia już zupełnie nie można było tego znieść. Moje towarzyszkę kazały mi symulować chorobę, a same zaczęły rozpaczliwie łomotać w drzwi i ściany wagonu. Sprowadziło to konwojenta, którego zarzuciły gradem skarg, wskazując na mnie i krzyżąc, że się duszę, i że wkrótce podusimy się wszystkie. Konwojent jakoś dał się wzruszyć. Po kryjomu wyprowadził nas z wagonu i kazał się przeczołgać pod kilkoma pociągami. Brudne i cuchnące wydostałyśmy się na zieloną łąkę, gdzie powietrze i światło odurzyło nas niemal do utraty przytomności. Niestety, krótko trwało wytchnienie! Zauważono nas i zjawili się kilkunastu mężczyzn, którzy z powrotem zapędzili nas do koszmarnego wagonu. Litościwego konwojenta już więcej nie zobaczyłyśmy. Pewnie go ukarano.

Na pół żywe ze zmęczenia i zaduchu dotarłyśmy wreszcie do Starobielska. Tutaj zamknięto nas w pomieszczeniu, które niegdyś było kurnikiem. Zbudowane z cienkich desek, brudy straszne, ani odrobiny słomy do spania. Trudno było wytrzymać.

Bardzo narzekaliśmy na te warunki prosząc o jakąś zmianę. Przeniesiono nas więc, ale okazało się, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę! Dostałyśmy się bowiem do dawnego refektarza sióstr prawosławnych. Mury refektarza były grube na półtora metra, wilgotne; zamiast posłania były prycze z resztą słomy, pełną robactwa. W dodatku było ciemno, bo refektarz miał tylko małe okienka pod sufitem. W tym to pomieszczeniu zamknięto nas na kłódkę i nie wypuszczano – tylko rano i wieczorem. Ze względów fizjologicznych była to tortura, zwłaszcza, że wiele z nas już chorowało na biegunkę. Posiłki (zupę) podawano nam w olbrzymich saganach. Wtedy wpadliśmy na pomysł i schowałyśmy jeden taki gar za drzwiami, a potem używałyśmy go do wiadomych celów. Niestety sprawa szybko się wydała. Obrzucono nas wyzwiskami, szydząc z naszych „pańskich przyzwyczajęń”!

Po kilku dniach tej udręki wsadzono nas znowu do wagonów. Chciałyśmy wsiąść tam, gdzie były siostry nazaretanki, ale nasze świeckie towarzyszkę błagały nas, żeby ich nie opuszczać. Niemal siłą zabrały nas do swojego wagonu twierdząc, że bez naszej moralnej pomocy nie wytrzymają w tym piekle.

Tak więc dojechałyśmy do Świerdłowska. Zorientowałyśmy się, że jesteśmy na Uralu.

W Świerdłowsku kazano nam wysiadać, po czym załadowano nas na płaskie – bez burt – platformy kolejki wąskotorowej. Jechaliśmy tak 30 kilometrów w głąb tajgi. Celem tego ostatniego etapu podróży był obóz „Stupino 2”, zwany „łagrem śmierci” (nikt z tego obozu nie wychodził). Razem z nami przyjechało 700 Estończyków.

Istotnie, nazwa „łager śmierci” pasowała do tego miejsca. Obóz znajdował się w bagnistej, podmokłej tajdze. Gdy wysiadłyśmy z kolejki, nogi zapadły się od razu w gliniaste błoto. Ogrodzony był parkanem z desek, nad którymi umieszczone były druty pod wysokim napięciem elektrycznym. Wewnątrz, wokół parkanu, biegł pięciometrowej szerokości pas ziemi, który co rano był zgrabiany. Za nim znów ogrodzenie z drutów, a dopiero za nim – baraki. Na rogach obozu znajdowały się wieżyczki dla strażników. Warty zmieniały się przez całą dobę.

Barak dla kobiet, umieszczony wewnątrz małego podwórka, był odgrodzony od reszty i zamykany na kłódkę. Trudno opisać, jakie było nasze życie w tym baraku. Były tam prycze z desek, bez słomy czy sienników, ale za to gnieździły się w nich roje pluskiew. Było ich takie mrowie, że niepodobna się było uchronić. Gdy siedziałam na pryczy z miską zupy na kolanach, robactwo kapowało z górnej pryczy do miski... Jedna z nas, szczególnie wrażliwa na ukąszenia, chodziła stale zapuchnięta. O tym, żeby tam usnąć, nie było mowy, trudno było nawet spokojnie wyleżeć. Poza tym, jak się później przekonałyśmy, były też roje szczurów. Widziałam raz taki obrazek: jedna z więźniarek zbierała garście pluskiew i wrzucała je do małej miseczki z wodą. Dokoła tej miseczki siedziało ciasno kilka szczurów i... zjadało pływające po wierzchu robactwo. Słyszałam też o tym, że niektórzy więźniowie zabijali je i z głodu zjadali.

Przytaczam tylko niektóre z tych „obrazków”, chcąc dać choć słabe wyobrażenie o warunkach, w jakich się znalazłyśmy. Dodajmy do tego choroby i pracę ponad siły, a będziemy mieć obraz prawdziwej katongi...

Zaraz po przyjeździe zrobiono nam rewizję (każda taka rewizja była pretekstem do coraz złośliwszego okradania nas). Po rewizji jakiś człowiek wygłaszał do nas przemówienie, z którego niewiele zrozumiałam. Dotyczyło ono naszych praw i obowiązków. Na zakończenie dowiedziałyśmy się, że w baraku, w którym mieszkamy, nie zostanie zawieszony portret Stalina, bo nie jesteśmy tego godne.

Nasza grupa liczyła 25 Polek, w tym 5 wyznania mojżeszowego. Zaraz na wstępie postanowiłyśmy wszystkie przyjąć wewnętrzną dyscyplinę, która pomogłaby nam przetrwać – nie dać się! Ustaliłyśmy środki do tego celu: codzienna modlitwa, dokładne mycie się, wzajemna pomoc i śpiew – przy każdej okazji.

Wszystkie trzymałyśmy się ustalonych zasad i jakoś trwałyśmy w tym obozie śmierci, skąd prawie nikt nie wychodził żywy.

Rewizje powtarzały się często. Na drugą z kolei nie mogłam się stawić, bo miałam bardzo silną gorączkę. Chorowałam na tyfus brzuszny. Jednak rewizja mnie nie ominęła, bo rewident przyszedł do mnie, do baraku. Zabrano mi wtedy wiele rzeczy, ale najbardziej bolała mnie utrata różańca i medalika z Matką Boską. Był to duży sodalicyjny medal, z którym nigdy się nie rozstawałam. Zebrałam więc siły i poszłam do baraku, gdzie dokonywano rewizji. Spotkałam strażnika, który zabrał mi rzeczy – trzymał w ręku mój różaniec. Chciałam mu go koniecznie odebrać. W rezultacie szarpaniny, która wynikła, różaniec rozerwał się i zostało mi w ręku tylko siedem ziaren. Kiedy wchodziłam do baraku, od razu zobaczyłam mój medalik. Leżał na stole. Całą więc uwagę skupiłam na tym, aby go odzyskać. Rewident kilka razy brał medalik z łańcuszkiem i za każdym razem pytał:

– To srebro?

– Tak, srebro – odpowiadałam.

Jednak medalik nie dawał mi spokoju. W końcu, zupełnie niespodziewanie, wyciągnął do mnie rękę z medalikiem i pozwolił mi go zabrać. Czułam się jak umierający, któremu nagle przywrócono życie.

Wzięto mnie wtedy do „szpitala”. Był to pusty barak, gdzie stała tylko jedna prycza, ale za to z siennikiem. Przez całą noc siedział tam żołnierz, by mnie pilnować. Co dzień przybywało chorych, tak że wkrótce barak się zapełnił.

Nie pamiętam już jak długo chorowałam. Zaraz po chorobie kazano mi się stawić do pracy. Było to piłowanie grubych kłoców – praca, której po takim osłabieniu absolutnie nie mogłam podjąć. Nasza brygadystka, pani Janina N., bardzo energiczna osoba, kazała mi położyć się na kłocu, bo dookoła było bagno. Wtem niespodziewanie przyszedł dozorca i zobaczył mnie leżącą. Pani Janina nie czekała aż dozorca zacznie wymyślać, ale pierwsza napadła na niego:

– Jakich to ludzi przysyłacie do roboty? Ta kobieta się przewraca, nie może pracować. Co ja z nią mam zrobić?

Zaskoczony żołnierz machnął ręką i powiedział:

– No, to niech leży.

Okazało się, że najlepiej skutkowałą metoda zaskoczenia.

Praca w tajdze była ciężka, absolutnie nie dla kobiet. Trzeba było wielkie ścięte drzewa rozpiłować na krótsze kłocy i układać w stosy. Gorsze jeszcze było kopanie. Kopałyśmy rowy, którymi miała odpływać woda i trzeba było również wykopywać z ziemi odziomki ściętych pni wraz z korzeniami. Wszystko to w błocie i glinie! Odkopywanie tych pniaków było pracą syzyfową. Nie dało się nabrać gliny na łopatę – wyciągało się ją z powrotem całą oblepioną grudkami łu. Takie grzebanie łopatom trwało bez końca, cały czas stałyśmy po łydki w grząskim bagnie. W dodatku pracę tę rozpoczynałyśmy już zmęczone, bo z łagru do miejsca, gdzie kopałyśmy, było 10-15 kilometrów odległości, a droga wiodła przez bagna i moczary. Każdy krok – to zapadanie się i wyciąganie nóg z tego błota. Czasem nogę się wyciągnęło, a but pozostawał w bagnie.

Wstawałyśmy o czwartej rano, pół godziny później dostawałyśmy „śniadanie”, to znaczy pół litra zupy z gnijących liści kapuścianych, bez tłuszczu i soli. Taką „zupę” otrzymywałyśmy dwa razy dziennie i raz na dzień 40 dekagramów chleba. To było całe pożywienie. Po śniadaniu (o godzinie piątej) wychodziłyśmy pod konwojem do roboty. Tych kilkanaście kilometrów po błocie wlokłyśmy się nieraz sześć godzin. Najgorsze były ostatnie trzy kilometry, które przebywałyśmy w trzy godziny.

Głód panował straszny, wielu ludzi umierało z wycieńczenia.

Nasza grupa jakoś się trzymała, ale pewnego dnia zauważyłam, że siostrę Imeldę opanowały jakieś drgawki, jakby skurcze mięśni. Pomyślałam, że to może z głodu. I miałam rację. Kiedy siostra Imelda zgodziła się przyjąć ode mnie i zjeść kawałek chleba, drgawki ustały. Od tej pory czasem ją zmuszałam do przyjęcia chleba, w myśl naszego postanowienia, że musimy sobie nawzajem pomagać. Zresztą każda z nas, nawet bez zobowiązań, zrobiłaby to samo. Solidarność była wielka.

Oprócz głodu i wycieńczenia dręczyły nas ciągle rewizje i apele. Nieraz wywoływano nas z baraków, rzekomo dla przeliczenia nas i sprawdzenia. W tym czasie w baraku robiono rewizję, okradając nas z resztek drobiazgów.

Często, podczas apelu, polecano zgłaszać się chorym. Mierzono im temperaturę. Było wiele osób, które już nie czuły się zdolne do pracy – po prostu były u kresu sił. Ci, oczywiście, gorączki nie mieli, raczej odwrotnie, temperaturę poniżej normy. Wobec tego byli uważani za symulantów i pędzeni do pracy. Zdarzało się, że po paru godzinach „symulant” umierał i wracający z pracy mężczyźni nieśli jego zwłoki. Więcej umierało mężczyzn, w tym wielu nałogowych palaczy tytoniu – oddawali oni resztki chleba za papierosy.

Zmarli byli grzebani za łagrem. Ten cmentarz to był długi rów, który kopali sami więźniowie. Zmarłych kładziono koło siebie. W miarę przybywania ich rosła sterta ziemi, którą zwłoki przysypywano, co wyglądało jak długi kopiec.

Dręczono nas w różny sposób, na przykład polecając wykonywanie zupełnie zbędnych robót. I tak kazano przenosić ciężkie kłody drewna z sągów, ułożonych w głębi lasu i układać je obok szyn kolejki, która jakoby miała je zabrać. Kiedy opuszczaliśmy obóz, te sągi stały jeszcze w tym samym miejscu...

Póki trwało lato, praca w tajdze była jako tako znośna. Raz kazano nam zbierać jagody w miejscu, gdzie rosły obficie. Miałyśmy je zbierać w dzbany, a potem przynieść i zsypywać w magazynie do dużych pojemników. Surowo zabroniono nam jeść. W porównaniu z innymi, była to praca przyjemna, zbierałyśmy chętnie. Ale oczywiście nie przestrzegaliśmy zakazu: jadałyśmy jagody do syta – była to po prostu uczta. Wszak oprócz zgniłej zupy kapuścianej i czarnego chleba nie miałyśmy nic do jedzenia od paru miesięcy! Wracając, rozdawałyśmy jagody spotkanym po drodze więźniom, którzy niedawno pracowali. W rezultacie doniosłyśmy ich do łagru bardzo mało. Odpokutowała za to ciężko nasza brygadzistka, którą była wówczas Stenia Dąbrowska. Po wielkiej porcji łajañ i wymyślań, wpakowali ją do karceru na całą noc. Karcer, była to mała, ciasna klatka ustawiona na dworze, na betonowej podłodze. Zamykano tam ludzi za karę, upychając ich tak ciasno, że mogli tylko stać – o tym, by usiąść, mowy nie było. Szło się do karceru bez kolacji i nazajutrz rano do pracy również bez śniadania. Była to ciężka tortura, wiele osób nie mogło wytrzymać takiej męczarni.

Kiedy pani Stenia odbyła swoją karę i wróciła do nas, wówczas jedna z dziewcząt, młoda i ładna, postanowiła rozmówić się z pilnującym nas żołnierzem, który właśnie oskarżył panią Stenę i naraził ją na karcer. Byłam w pobliżu z innymi kobietami, żeby w razie czego przyjść z pomocą dziewczynie. Rozmowa, a raczej monolog naszej towarzyszki, skierowany do żołnierza, trwał długo. Wzburzona, rozgoryczona dziewczyna wypomniała wszystkie krzywdy, jakich doznali Polacy od Rosjan.

– Za co nas więzicie? Powiadacie, że przyszlście nam pomagać jak przyjaciele, a co zrobiliście w Polsce? Katujecie niewinnych ludzi, mordujecie i grabicie, wywozicie w tajgę i każecie pracować ponad siły. To tak robią przyjaciele? Co myśmý wam zawinili? Jesteście gorsi od Niemców, bo oni przynajmniej otwarcie mówią, że chcą nas wyniszczyć...

I tak dalej i dalej odważnie wyrzucała z siebie wszystko, co tylko oburzenie i poczucie doznanych krzywd jej dyktowało.

Reakcja żołnierza była niespodziewana. Próbował zrazu oponować, ale nie skarcił ani nie ukarał dziewczyny. Byłyśmy tym zdumione, bo bałyśmy się najgorszego. Widać na dnie tych prymitywnych dusz tliło się jeszcze jakieś poczucie sprawiedliwości, bo żołnierz nie tylko nie zrobił na nas donosu, ale stał się nam życzliwy. Mało tego – zaufał nam. Idąc z nami do pracy i z powrotem, sam nieraz rozpoczynał rozmowę i skarżył się na swój los. Zrozumiłyśmy nareszcie ich stan psychiczny. To byli też niewolnicy. Tylko ich dola była gorsza od naszej – oni nie mieli przed sobą nadziei wyzwolenia. Do pełnienia swych funkcji byli zmuszani, a jak wszyscy gnębieni niewolnicy – wywierali zemstę za swój los na słabszych od siebie.

Nadeszła wreszcie zima, ale z tym wiązało się wzmożenie naszej tortury. Pewnego razu kazano nam zwłóczyć i układać, równo obok siebie, kłocę ściętych drzew, które po ścinie padały w różnych kierunkach, krzyżując się, tworząc wysoki stos pni. Wyciąganie tych długich, kilkunastometrowych kło-

ców, w dodatku ugrzęzłych w śniegu i lodzie, było pracą zupełnie ponad nasze siły. Dozorcy sami to spostrzegli i obiecali, że nam przyślą konie do pomocy. Mocno uradowane zabrałyśmy się do zrobienia szalasu dla tych koni. Zapowiedziano nam jednak, że nie wolno rozmawiać z człowiekiem, który te konie przyprowadzi. Gdy wreszcie przyprowadzono oczekiwane konie, okazało się, że są to szkielety pokryte strupami, które niedługo pożyją, a w każdym razie niewiele pomogą. Tak samo wynędzniały był człowiek, który je przyprowadził. Istotnie, konie były równie bezsilne jak my. Miały jednak niemal ludzką inteligencję. Gdy zobaczyły, że nadchodzą żołnierze, wyteżały wszystkie siły. Gdy tylko żołnierze odchodzili, koniska stawały i odpoczywały. Te nieszczęsne zwierzęta szybko zdechły. Pracujący obok więźniowie rzucili się na nie jak głodniałe wilki... Bałyśmy się, że odpowiedzialni za konie mężczyźni zostaną surowo ukarani za to, że konie zdechły i za to, że zostały zjedzone, tym bardziej, że dla koni paszy nie przysyłano – jadły tylko cienkie gałązki brzoź. Gdy jednak zdechły, nadesłano wiązki siana i worek owsa, aby pokazać, że konie miały co jeść, a zdechły nie z głodu, tylko z jakiejś innej przyczyny. Ponieważ siano było już niepotrzebne, wyścielaliśmy nimi sobie nasze trepaki z plecionej kory i łyka. A owies ludzie jedli tłuczony – w barakach przypiekali go na piecu i zalewali wrzątkiem. To była „kawa”.

Jakoś wkrótce po tej historii z końmi, wydarzył się przypadek ucieczki więźnia z obozu. Całe „naczalstwo” pojechało w pościg. Dano nam pracę tuż koło łagru, dość lekką, bo musiałyśmy przepiłować kloce mechaniczną piłą na dość cienkie krążki, które potem łupano siekierą na krótkie szczapy. Pilnował nas jeden żołnierz. W pewnej chwili żołnierz ten zawołał mnie i kazał sobie dorzucić dREW do palącego się obok ogniska. Podeszłam i to zrobiłam. Obok żołnierza leżały dwa psy, przyuczone do ścigania ludzi; groźnie patrzyły i tylko czekały na to, aby się na mnie rzucić.

Wtedy między mną a żołnierzem nawiązał się dialog, który już niezbyt dokładnie pamiętam, ale przytoczę tu jego najważniejsze fragmenty. Żołnierz kazał mi pozostać i zaproponował, żebym się zagrzała przy ognisku.

– Nie mogę podejść bliżej – powiedziałam – przecież wiesz, że nie wolno nam do was podchodzić bliżej niż na pięć metrów. Jeszcze poszczujesz mnie psami!

– Et – odpowiedział – cóż ty możesz mi zrobić? Zresztą nikt nie zobaczy, „naczalstwa” nie ma. Ty „monaszka”, prawda?

– Tak, jestem zakonnica, ale skąd ty to wiesz?

– O, my wiemy, że was tu jest kilka, a po twarzy można was poznać. Ty masz taką „siericzną” twarz. A ty się modlisz?

– No, oczywiście, modłę się.

– A gdzież tu się modlić? Nie ma ani cerkwi, ani batiuszki...

– Mnie to nie potrzebne, ja mam Boga w sercu i On wszędzie mnie wysłucha, i bez batiuszki. A ty się modlisz?

– Nam nie wolno się modlić. Zabronione.

– Jak to zabronione. A spróbuj ty mnie zabronić się modlić! Jak to zrobisz? Możesz mi kazać nosić kloce, możesz mnie zamknąć do karceru, możesz mnie bić, ale skąd będziesz wiedział czy ja się modłę czy nie? A ja się zawsze modłę.

– No, no... A i co z tej modlitwy, powiedz? Ot, widzisz, ja mam ciepłe ubranie, dobre jedzenie, mało roboty, mam dom i rodzinę - bez modlenia się. A ty co? W tajdze siedzisz, katorgę tu masz, jesz gorzej niż bydłęta, pracujesz do zgonu. I cóż ci dała twoja modlitwa?

– A to – odpowiedziałam – że mam Boga w sercu i wiem, że robię tylko to, co On mi każe. On mnie doświadcza, ale mnie stąd wyprowadzi. I ty jesteś tylko wykonawcą woli Bożej. Ja stąd wyjdę żywa i wrócę do Polski, a na twoją dole bym się nie zamieniła.

– A to czemu?

– Bo widzisz, ty gorszy niewolnik niż ja. Ja tu cierpię, ale jak ucieknę, to tobie kula w łeb. Za to spróbuj ty uciekać, to mnie nic się nie stanie. Robisz tu to wszystko, bo musisz, i sam nie wiesz, po co. Przecież orientujesz się, że katujecie niewinnych ludzi. Czy to nie gorszy los niż mój? Przy tobie nie ma nikogo, kto by ci pomógł, a mnie pomaga Bóg. Bóg i ciebie widzi. Więc widzisz, ty jesteś biedniejszy ode mnie... Będę się za ciebie modliła.

– Nie chcę. Niepotrzebna mi twoja modlitwa.

– Teraz ci nie jest potrzebna, ale jak będziesz umierał, to poszukasz Boga. On tę moją modlitwę wysłucha. Będę się modlić za ciebie.

Potem już nic nie mówiłam. Żołnierz zamyślił się głęboko. Dorzuciłam dREW do gasnącego ogniska, a on dumiał. Chyba i tę duszę jakoś Bóg nawiedził, bo po tej rozmowie ten człowiek stał się lepszy dla nas i nie zwracał uwagi na nasze „wykroczenia”.

Innym razem odkomenderowano nas do piwnicy, do przebierania kartofli. Były ich ogromne sterty – na pół zgniłe, mokre i oślizgłe. Przebierałyśmy je i oczywiście zaraz zrodziła się myśl, żeby trochę tych kartofli zjeść. Odkryłyśmy także w osobnej przegrodzie dobre, świeże główki kapusty. W piwnicy palił się piecyk, żeby kartofle nie marzły. Pokusa była zbyt silna. Za drugim pobylem w piwnicy miałyśmy już przy sobie blaszane pudełka po herbacie, konserwach – co tam która znalazła. Miałyśmy też nożyk, który zrobił jeden z więźniów z małej piłki do drewna. Obierałyśmy kartofle i układałyśmy w talarki w pudełkach, na przemian z kapustą. Potem piekłyśmy na piecyku. Było to nadzwyczajne! Od kilku miesięcy nie miałyśmy w ustach takiego jedzenia. Pomyślałyśmy oczywiście o tych naszych towarzyszkach, które nie były z nami. Trzeba było im chociaż trochę zanieść. Trudno było to jednak ukryć, więc też tylko niewielkie ilości mogłyśmy zabrać do łagru.

Pewnego dnia pieczemy w najlepsze kartofle, kiedy nagle rozlega się hałas za drzwiami, słyhać kroki i szcęknięcie kluczy! Kontrola? Wszystkie przerażone, w popłochu chowają blaszanki, i zabierają się do pracy. Ja ze swoim pudełkiem zostałam, czy się spóźniłam, czy trudno mi było robić cokolwiek po kryjomu – pewno i jedno, i drugie. Żołnierze stanęli przy mnie. Serce łomotało mi ze strachu, ale odważyłam się spojrzeć na nich. I oto, o mały włos, byłabym się roześmiała, widząc ich miny! Byli tak zdumieni moim „zuchwalstwem”, tym, że mamy odwagę robić rzeczy zakazane nie kryjąc się z tym, że ich po prostu zatkało. Stali nade mną z wytrzeszczonymi oczami, bez słowa, w końcu jeden zapytał:

– Ty to pieczesz?

– Piekę.

– I jesz?

– Jem.

Choć bałam się panicznie, byłam ciekawa, co teraz nastąpi.

– Nu – powiada drugi – możecie piec i jeść... Tylko mi nie wynosić dla drugich – wrzasnął na zakończenie.

Oczywiście, że od tej pory zorganizowałyśmy się lepiej i całe sterty pieczonych kartofli wynosiłyśmy ukryte pod ubraniem, w rękawach – jak się dało. Cała nasza grupa miała przez długi czas obiady, bo – jak wiadomo – obiadów nie dostawałyśmy wcale.

I jeszcze jeden przykład. Kiedyś, gdy kazano nam pracować na bardzo ostrym mrozie (do minus 40 stopni) – zbuntowałyśmy się i nie poszłyśmy do pracy. I znowu wywołałyśmy niespodziewaną reakcję: kiedy pokazałyśmy, że mamy na nogach tylko drewniane z łyka plecione trepaki mówiąc, że jeśli odmrozimy do reszty nogi, to wcale nie będziemy mogły pracować, zamiast nagany, dali nam pracę w suszarni, gdzie palił się piec i było ciepło.

Oto kilka przykładów niespodziewanie obudzonego człowieczeństwa, czegoś, co można by nazwać litością, a może istotnie w tych twardych sercach było miejsce na jakieś bardziej ludzkie uczucia? Choć okrutni, bezmyślni i chciwi – nie byli przecież zwyrodniałymi zbrodniarzami. Nie byli zupełnie głusi na ludzkie cierpienie. A naszą postawą byli zupełnie zdezorientowani. Mogę śmiało powiedzieć, że postępowaniem naszym – spokojnym, opanowanym, nietchórzliwym – imponowałyśmy im. Nasza grupa kobiet potrafiła zdobyć te twarde serca. Pod koniec naszego pobytu w obozie prawie wszyscy – po kryjomu – stali się naszymi przyjaciółmi. Życie zrobiło się lżejsze, już nie tylko dlatego, że byli dla nas łagodniejsi, ale dlatego też, że udało nam się rzucić jakieś dobre ziarno w tę jałową rolę – i że ono zakiełkowało.

Z modlitwą jednak musiałyśmy się ukrywać. Modliłyśmy się wspólnie rano, w drodze do pracy i z powrotem. Gdy ktoś z pilnujących nas był blisko, udawałyśmy, że to zwykła rozmowa. Śpiewałyśmy pobożne pieśni – to było łatwiejsze, bo nie rozumieli, co śpiewamy, zwłaszcza że śpiewałyśmy również i świeckie piosenki, kiedy tylko się dało. Ukłęknąć do modlitwy można było tylko wówczas, gdy byłyśmy same, najczęściej w nocy, po powrocie z pracy (a wracałyśmy nieraz o pierwszej). Toteż wysilałyśmy całą pomysłowość, by urządzić sobie nabożeństwa niedzielne. Wykorzystywałyśmy do tego celu kryjówkę, która początkowo została zrobiona przez nas jako „ubikacja”. Były to sęgi drewna, przysunięte blisko siebie, tak że wewnątrz tworzyła się pusta przestrzeń, w kształcie zbliżonym do koła. Między dwoma rozsuniętymi sęgami było przejście. Żołnierze wiedzieli, po co tam chodzimy, więc nie wzbudzało to ich podejrzeń. Mogłyśmy więc w niedzielę wchodzić tam w kilka, i wychodzić

pojedynczo. Najdłużej trwała moja nieobecność, ponieważ ja „celebrowałam” modlitwy w kilku kolejnych grupach. Aby więc nie zwróciło to uwagi, że piła, przy której pracowałam, stoi nieczynna, towarzyszki moje zmieniały się kolejno przy tej pile, abym mogła, niezauważona, skończyć nabożeństwo.

Wchodząc do tego schowka wszystkie stawałyśmy w duchu przed Matką Boską Ostrobramską. To pozwalało nam zapomnieć, w jak nędznym miejscu wypadło nam odmawiać modlitwy. Jednak nigdy nie czułyśmy się bliżej Boga, jak wtedy...

Urządziłyśmy sobie także święta Bożego Narodzenia. Już na długo przedtem zorganizowałyśmy się i podzieliły na „komisje”. Może było to trochę dziecinne, ale wypełniało nam myśl radością i pozwalało oderwać się choć trochę od okrutnej rzeczywistości. Każda z „komisji” miała coś innego do przygotowania. Z codziennej porcji chleba chowałyśmy po kromce, aby była „na wigilię”. Przygotowałyśmy też prezenty. Każda musiała coś ofiarować każdej, w ten sposób byłyśmy wszystkie obdarowane. Na prezenty składały się nici, igły, kawałeczki mydła, jakieś inne drobiazgi, a także kawałeczki chleba. Wszystko się liczyło! Wspólnie z siostrą Imeldą porobiłyśmy dla każdej małe tabliczki z kory brzozonej. Na gładkiej stronie kory wyrysowałyśmy ołówkiem jedną część różańca. W wigilię ofiarowałyśmy te tabliczki wszystkim z zapewnieniem modlitwy. Prosiłyśmy też, aby i one się modliły tak, żeby za każdą z nas była odmówiona co dzień cała część różańca.

W dzień wigilii (w największym sekrecie) dużą, podwójną pryczę nakryłyśmy prześcieradłem, a na niej „w gwiazdę” poukładałyśmy deseczki podobne do gontów, które służyły jako talerze. Na nich leżało po pięć kromek chleba: jedna opiekana z obu stron, druga z kiszoną kapustą, trzecia posypana cukrem. Na dwie ostatnie zabrakło już dodatku.

Była to nasza wieczerza wigilijna. Na środku stała choinka, którą przynieśli nam Estończycy, ubrana w różne kolorowe strzępki i nitki. Zaprosiłyśmy na tę uroczystość także Litwinki. Były tym zaskoczone i wzruszone – nie spodziewały się zaproszenia (przez cały czas były nastawione do nas wrogo, szykanowały nas i oskarżały), więc bardzo je ujęła nasza postawa. Miałyśmy nawet kawałeczek opłatka. Podzieliłyśmy się nim ze wszystkimi. Żydówki zachowały się wzruszająco. Nie dzieliłyśmy się z nimi opłatkiem, ale wyczuwałyśmy się serdecznie i czułyśmy, że one jednoczą się z nami. Było to naprawdę święto pojednania – tak jak chciał Pan Jezus: wszystkie czułyśmy się jedną rodziną pod opieką jedyne Boga.

Potem śpiewałyśmy kolędy, a kiedy już uroczystość dobiegała końca, wpadli żołnierze. Zorientowali się, że to jakieś katolickie świętowanie. Zdarli prześcieradło, pozzrucali wszystko na ziemię, wszystko zniszczyli. Tylko nie mogli zniszczyć naszej wewnętrznej radości. Odbyłyśmy wigilię!

Święta Bożego Narodzenia jeszcze i dlatego tak nas uszczęśliwiły, że zaczęła nam świtać nadzieja wolności.

Wśród pracujących niedaleko nas mężczyzn, znalazł się więzień z Radomia. Przypadkiem się o tym dowiedziałam i powiedziałam mu, że jestem z Kielc. Otóż ten „kolega z Radomia” – tak odtąd nazywaliśmy się wzajemnie (ja byłam „koleżanką z Kielc”) – przy jakimś spotkaniu, oczywiście w taki sposób, żeby konwojenci nie zauważyli, zdążył mi szepnąć, że Polska zawarła porozumienie z ZSRR, na mocy którego ma nastąpić zwolnienie polskich więźniów. Byłam wstrząśnięta tą wiadomością, nie mogłam uwierzyć w takie szczęście. Chciałam koniecznie się dowiedzieć, kto ze strony Polski podpisał to porozumienie. „Kolega z Radomia” obiecał mi, że się dowie, bo oni mieli gazety; może nawet uda mu się przynieść gazetę. Od tej pory codziennie chodziłam w to samo miejsce udając, że biorę z kałuży wodę do blaszanki. Po kilku dniach zjawił się „Radomiak” i klucząc wokoło, szepnął: „sprawdziłem w gazecie – to Sikorski. Gazety nie przyniosłem, bo rewidują”.

Wróciłam szybko do mojej grupy i przekazałam tę nowinę. Współtowarzyszki szalały z radości! Wtedy postanowiłyśmy zacząć jakieś zorganizowane działanie. Wybrałyśmy komisję składającą się z pięciu osób, do której weszły: pani Stenia, pani Tola, jeszcze dwie, których imion nie pamiętam, i ja. Najważniejsze było uzyskanie pewności, że mamy być zwolnione. Trzeba było o to zapytać komendanta obozu. Był to człowiek antypatyczny, wszystkie bałyśmy się go jak ognia, i nazywałyśmy „zimny drań”. Innego sposobu sprawdzenia tej wiadomości jednak nie było.

Kiedy zobaczyłyśmy komendanta na terenie obozu, podeszłyśmy całą grupką i pani Stenia zapytała, czy to prawda, że Polki mają być zwalniane. Reakcja komendanta była straszna. Był wściekły, obrzucił nas całym stekiem wyzwisk, groził, żebyśmy się nawet nie ważyły o tym myśleć, że za takie plotki wystrzela nas jak psy.

Byliśmy zdruzgotane. Ogarnęło nas zwątpienie i lęk. Co robić? Na pewno trzymają nas w łagrze bezprawnie. Świadczył o tym fakt, że kiedy do obozu przyjechała na kontrolę komisja, to byli tylko u Estończyków, podczas gdy nas zamknięto w baraku i nie pozwolono wyjść do momentu jej wyjazdu.

Okazja do działania nadarzyła się niebawem. Za ogrodzeniem łagru były dwa nowo wybudowane, niewielkie domki. Służyły administracji. Do mycia podłóg w tych domach wyznaczono jedną z kobiet. Pewnego dnia Tola wpadła na myśl, żeby się umówić ze sprzątaczką i zamiast niej – pójść do owych domków. Ufała swemu szczęściu i rzeczywiście – zawsze się jej udawały ryzykowne przedsięwzięcia. Tym razem też jakoś chytrze przeprowadziła swój plan. Wzięła wiadra, szczotki, ścierki i poszła. Wartownicy, którzy stali wzdłuż drogi do domków, przepuścili ją. Widocznie wiedzieli, że jedna z nas ma myć podłogi, a która – to już było im obojętne.

W domkach miała urzędować przyjeżdżająca komisja do badania spraw Estończyków. Na razie przyjechała tylko jedna młoda kobieta, aby wszystko przygotować, która okazała się bardzo porządnym człowiekiem. Rozmawiając z Tolą potwierdziła, że pogłoska o zwolnieniu nas jest prawdziwa, i że jesteśmy więzione bezprawnie. Powiedziała też Toli, że jutro przyjedzie dwóch prokuratorów i każdy z nich będzie urzędował w osobnym pokoju. Jeden z nich miał być dobrym, przyzwoitym człowiekiem, ale drugi bardzo złym. Ale jak zagadnąć, który jest który? W tym już nie umiała nam pomóc. Nalegała jednak, aby koniecznie porozumieć się z prokuratorem. Wreszcie, na zakończenie, dała Toli adres swojej matki z uwagą, że mogą się tam zgłosić – jak już będą na wolności – ale tylko cztery osoby. Adres ten otrzymała oprócz Toli siostra Imelda, pani Stenia i ja.

Gdy Tola wróciła z tą rewelacyjną wiadomością do łagru, byliśmy poruszone do żywego. Wiadomość była radosna, ale jak postępować dalej? Jak skontaktować się z prokuratorem, jak trafić na tego „dobrego”?

Jakoś przed wieczorem wpadł do nas Popow, kierownik gospodarczy. Zwymyślał sprzątaczkę, że podłoga źle umyta, brudna i zabłocona! (Oczywiście, Tola nie umiała myć podłóg, a poza tym więcej była zaabsorbowana rozmową niż podłogą). Teraz jednak słuchając brutalnych wymysłów Popowa, znów podjęła decyzję.

– To ja tak umyłam tę podłogę – zawołała na cały głos – proszę pozwolić mi umyć ją drugi raz jutro wczesnym rankiem, zanim komisja przyjedzie!

Popow zdumiał się. Rzadko zdarzało się, żeby ktoś, nie pytany, sam się przyznał do winy. Ale jakoś nie wzbudziło to jego podejrzeń. Nie zapytał też, dlaczego sprzątaczką nie myła podłogi. Zezwolił.

I znów Toli się poszczęściło. A na drugi dzień poszczęściło się jej jeszcze bardziej. Umówiła sobie do mycia podłóg siostrę Imeldę i poszły razem. Cudem jakimś warta nie zapytała, dlaczego idą we dwie zamiast jednej. To było nieprawdopodobne szczęście! Teraz tylko należało tak zwlekać z myciem, aby doczekać się przyjazdu obu prokuratorów.

Wszystko toczyło się jak w bajce. Zanim wyszły, wkroczyła komisja na mokre jeszcze podłogi. Prokuratorzy zasiedli w dwóch pokojach. Tola przeżegnała się i pomyślała, że może i tym razem się uda. Weszła bez namysłu do jednego z pokojów. Z przerażeniem spostrzegła, że obok prokuratora siedzi „zimny drań”. To było okropne, ale cofać się było już za późno. Zapytała więc prokuratora wprost, czy to prawda, że więźniowie narodowości polskiej mają być zwolnieni.

– A ty Polka? – spytał prokurator.

– Tak – odpowiedziała.

Wtedy prokurator zwrócił się do „zimnego” z zapytaniem, czy w obozie są Polacy. Gdy usłyszał potwierdzenie, zanotował to w notesie. Później wypytywał Tolę o szczegóły nas dotyczące i za każdym pytaniem zwracał się do komendanta z zapytaniem:

– Czy to prawda?

Wszystkie odpowiedzi notował. Wszystko się zgadzało.

Tola wyszła szybko razem z siostrą Imeldą, obie nie wiedziały, jak się dalej sprawy potoczą: czy prokurator nakaze zwolnienie, czy je ukarze, a może każe je rozstrzelać.

Z tymi wieściami i wątpliwościami wróciły do baraku. Rzeczywiście trudno nam było przewidzieć, co się teraz stanie. Jedne z nas były pełne optymizmu, inne się bały. Nastrój był pełen podniecenia i w nim żyliśmy ustawicznie przez następne, długie dni. Nasza komisja nie wtajemniczała wszystkich w szczegóły swych poczynań. Nie chcieliśmy, żeby się ta sprawa rozniosła, żeby dowiedziały się o niej osoby niepowołane.

Aż tu pewnego dnia spotkałyśmy jedną z naszych towarzyszek, młodą dziewczynę, która pomagała w pracy kancelaryjnej w administracji, która powiedziała nam w sekrecie, że w kancelarii robią spis

kobiet – Polek. Teraz powstała kwestia – po co to czynią? Te z nas, które nie znały całej prawdy, bardzo się bały. Myślały, że znów nas gdzieś wywiozą albo zabiją. Ale my, „wtajemniczone”, miałyśmy wielką nadzieję, że odważna działalność Toli odniosła dobry skutek, że zostaniemy zwolnione.

Po jakimś czasie przyszedł Popow – wesoły, jakby odmieniony; rozmawiał z nami łaskawie i potwierdził, że będziemy zwolnione. Nie wiedziałyśmy czy mówi prawdę, czy drwi, czy chce nas wprowadzić w błąd.

Jednak następnego dnia przyszli żołnierze, kazali nam się spakować i wychodzić z baraku. Wyprowadzili nas z łagru i wsadzili do wagonów kolejki wąskotorowej – znów nie wiemy, co z nami będzie. Ta niepewność, trwająca tyle dni, była straszna!

Było to 19 stycznia 1942. Kolejka dowiozła nas do Swierdłowska. Kazał nam wysiadać. Wsiadamy spieszenie. Oglądamy się, skąd padnie nowy rozkaz i jaki... Ale nic się nie dzieje. Żołnierze odchodzą – wyraźnie nikt nas nie pilnuje. Jeden z odchodzących wartowników kazał nam się udać do baraku, gdzie były przechowywane nasze rzeczy, zabrane przy pierwszej rewizji. Poszłyśmy jeszcze niepewne, czy nam cokolwiek oddadzą. Ale oddali wszystko, co było zdeponowane (m.in. odebrałam mój zegarek na rękę). To było niebywałe!

Więc byłyśmy wolne! Ta świadomość zaprzętała nasze umysły ponad wszystko inne. Dziękowałyśmy Bogu całym sercem.

Ale teraz doszedł nowy problem: dokąd się udać? Jeszcze w obozie jeden z więźniów radził nam, aby jechać na południe. Tutaj w baraku powiedziano nam to samo:

– Jedźcie na południe, tam traficie na wasze wojsko i na sztab, niech oni się o was martwią.

A więc – na południe. Wyłoniła się zaraz nowa kwestia: skąd wziąć żywność? Nie wiadomo, jak długo będziemy jechać, jesteśmy bardzo wynędzniale i chore, osłabione z głodu, a tu mróz dochodzi do minus 55 stopni.

Nagle, nie wiadomo skąd, znów zjawił się Popow. Przyjechał tu razem z nami. Zaproponował, że bym mu sprzedała swój zegarek. Zgodziłam się na to pod warunkiem, że zapłaci żywnością. Zażądałam za zegarek – w moim mniemaniu – bardzo dużo, bo 5 pudów mąki, 5 pudów kaszy i tyleż kartofli. Zgodził się, jednak radził, żeby nie brać kartofli, bo zmarzną w drodze. Umówiliśmy się więc, że przywiezie prowiant bezpośrednio przed naszym odjazdem, który miał nastąpić tego samego dnia po godzinie 17⁰⁰. Zegarek miałam mu dać po otrzymaniu żywności.

Załadowałyśmy się do pociągu, który – jak nam powiedziano – „szedł na południe”. Wsiadłyśmy do ostatniego wagonu. Wagon był mały, więc znalazła się w nim tylko nasza grupka. To nas bardzo ucieszyło. Oczekiwałyśmy teraz niecierpliwie na naszego dostawcę żywności. Niestety! Przyjechał za późno! Odjazd pociągu przyspieszono, a my z rozpaczą spoglądałyśmy na furgon z workami żywności, który właśnie nadjeżdżał... Kwadrans zdecydował prawie o naszym życiu! Jazda w tak strasznym mrozie bez jedzenia, to pewna śmierć. Wierzyłyśmy jednak niezłomnie, że skoro Opatrzność doprowadziła nas do tego miejsca, poprowadzi szczęśliwie dalej.

Wagon, do którego wsiadłyśmy, był cały czarny od węglowego miazgu. Chcąc go jakoś oczyścić – zamiast znaleźć gałęzie na miotły – zaczęłyśmy myć wagon wrzątkiem, co było jeszcze gorsze, bo woda zamarała, do węgla dołączyła się warstwa lodu, która się rozpuszczała, gdy opierałyśmy się o ściany.

Podróż była okropna. Na każdym postoju starałyśmy się zdobyć chociaż odrobinę żywności. Niektóre z nas miały jeszcze trochę pieniędzy, więc kupowałyśmy, co się dało. Ale nie wszystko można było kupić za pieniądze. Ludność sprzedawała mleko po pięć rubli za szklanekę, ale na przykład herbatę i mydło – tylko na wymianę za bieliznę, ubranie itp. Bardzo trudno było też o chleb.

Dotarłyśmy więc do Czelabińska (na Uralu). Tam spotkała nas wielka radość: zobaczyłyśmy pierwszych polskich żołnierzy! Mało tego, przyszedł do nas ich kapelan. Wzruszony naszym losem, przyniósł ze sobą wszystko, co było potrzebne do Mszy świętej i odprawił ją w wagonie. Jedną, górną pryczę zasłaliśmy prześcieradłem, i na niej to, klęcząc, ksiądz celebrował Mszę świętą. My również klęczałyśmy. Stać nie było można, bo sufit wagonu był nisko. Po tylu miesiącach pierwsza Msza święta i Komunia – to było wielkie przeżycie i napełniło nas nową falą ufności i wdzięczności dla Stwórcy.

Znów ruszyłyśmy w dalszą drogę. Pragnęłyśmy jak najprędzej dotrzeć do celu, bo sił ubywało z każdym dniem, coraz to któraś zapadała na głodową biegunkę. Siostra Imelda zachorowała na tyfus, ja chorowałam z głodu – obie miałyśmy silną gorączkę, a o żadnym leczeniu mowy nie było.

A tu jeszcze – przed samym odjazdem z Czelabińska – przybył nam mały pasażer. Było nim czteroletnie dziecko, bardzo ciężko chore, które niedawno straciło matkę, a teraz umarł ojciec. Któryś z Polaków powierzył to dziecko mojej opiece z prośbą, aby je dowieść do jakiegoś szpitala. Biedne maleństwo było nieprzytomne, miało straszliwą biegunkę, wymagało ciągłej opieki, no i jakiegoś pożywienia. Stała naszą troską było zdobywanie strawy. Dlatego też na jednym z dłuższych postojów cztery nasze towarzyszki wybiegły z wagonu, bo zauważyłyśmy, że można zdobyć zupę z kotła. Narzuciły na siebie tylko płaszcze, chwyciły wiadra i wybiegły. Ale nie miałyśmy szczęścia. I tym razem, podobnie jak w Swierdłowsku, pociąg ruszył nim zupa dotarła do wagonu. Dziewczęta nie zdążyły. Widziałyśmy je, jak porzuciwszy wiadra, biegnęły za pociągiem! Byłyśmy w rozpacz. Nie chodziło nam już o straconą zupę i wiadra, ale przede wszystkim o te cztery biedaczki. Truchlałyśmy na myśl, co się z nimi stanie w tym potwornym mrozie – zostały przecież bez niczego, nawet z gołymi głowami. Ciągle przemyślałyśmy i naradzałyśmy się, co robić, aby mogły nas dogonić.

I tu przyszło z pomocą chore dziecko. Po raz pierwszy odezwało się zupełnie przytomnie i powiedziało, żebyśmy były pewne, że one dogonią nas innym pociągiem na następnym postoju. Widać, biedactwo, widziało już podobne przypadki. Uczepiłyśmy się tej nadziei.

Wreszcie stajemy. Godziny płyną, a ich nie ma. Wtedy przyszła mi do głowy zbawcza myśl. Jako córka kolejarza wiedziałam mniej więcej, jak spinane są wagony. Poradziłam, aby kilka silniejszych wysiadło i odczepiło nasz wagon, który był ostatni. Kiedy pociąg ruszy, nasz wagon zostanie na torze. Sama nie zdołałabym tego zrobić – siły zupełnie mnie opuszczały. Moja rada jednak się podobała. Kilka silniejszych kobiet pobiegło, weszły między bufory, ryzykując niemal życie – przecież pociąg mógł ruszyć lada chwila! Ale zdążyły. Rozczepiły haki – mimo straszego mrozu i ciężaru żelastwa, i wróciły do wagonu. Nad ranem pociąg ruszył, a my zostałyśmy.

Teraz jednak trzeba było pójść na stację i powiedzieć, co się stało. Zebrałam resztki sił i powlokłam się do zawiadowcy. Gdy się o tym dowiedział, w pierwszej chwili nie chciał uwierzyć. Wagon sam nie mógł się odczepić! Wściekał się i krzyczał, że nas tak pozostawi na torach do skończenia świata. Wtedy spokojnie zwróciłam mu uwagę, że byłby to krok nierozważny z jego strony. My – tłumaczyłam – możemy wysiąść i nic nam się nie stanie, ale jeśli na ten tor wjedzie inny pociąg, spowoduje awarię, której skutki spadną na pana. Tylko pan będzie za to odpowiadał. Radzę przesunąć tymczasem wagon na inny, boczny tor, a potem przyczepić nas do innego pociągu jadącego na południe.

Po namyśle zawiadowca udobruchał się, przyznał mi rację i zrobił tak jak mu radziłam. Podstęp się udał!

Teraz czekałyśmy na nasze towarzyszki z wielkim niepokojem, czy złapią jakiś pociąg i czy zdążą przyjechać zanim, my ruszymy dalej. Minał cały dzień. Nadchodziły pociągi, a ich nie było! Wreszcie w nocy obudziło nas jakieś pukanie. To były one. Może to się wydawać nieprawdopodobne, ale mimo ciemności i okropnego wycieńczenia znalazły i rozpoznały nasz wagon. Pytałyśmy, skąd wiedziały, gdzie nas szukać, gdzie wysiadać? Odpowiedziały, że były pewne, iż zastaną nas na następnym postoju, że ich nie zostawimy. Jechały więc uczezione rękami burty wagonu wiozącego węgiel, stojąc na buforach. Pęd powietrza i niesamowity mróz obezwładniał je, zgrabiałe ręce tylko jakimś cudem trzymały się kurczowo burty pociągu, ale przyjechały! Ich powrót nappełnił nas wielką radością.

Po kilku dniach postoju przyczepiono nas do bardzo długiego pociągu, jadącego na południe. Gdy pytałyśmy, dokąd jedzie, odpowiadano nam:

– Daleko, bardzo daleko!

Zanim jeszcze wyjechałyśmy, spotkała nas niemiła przygoda, która mogła się smutnie skończyć. Zauważyłyśmy, że z sąsiedniego wagonu wyładowują worki, a z jednego, rozprutego, sypie się cukier. Wagon stał prawie na wprost naszego. Pokusa była zbyt wielka. Mimo, że obawiałyśmy się, aby nasz pociąg nie ruszył, kilka z nas wybiegło w tym celu, żeby nazbierać cukru w co się dało. Tola biegła ze słoikiem, inne miały pudełka czy chustki do nosa. Gdy już wracały, spotkała ich warta, i jako „złodziejki” zaprowadziła na stację. Tylko Toli, szczęściarce, udało się uciec z cukrem do wagonu. Inne wysypały z takim trudem zdobyty cukier na ziemię... Gdy się o tym dowiedziałam, mimo że ledwo mogłam chodzić ubrałam się, wzięłam ich płaszcze i poszłam na stację. Trafiłam tam do wielkiego pokoju, gdzie stały pod ścianą z rękami założonymi do tyłu. Za stołem siedzieli kolejarze. Struchlałam. Wtedy za kradzież groziła kara śmierci. Ale strach dodał mi bodźca. Zapytałam ostro.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego je tu trzymacie? Przyniosłam ich płaszcze i chcę im je dać.

Po długich wrzaskach i ceregielach pozwolił mi podejść bliżej i podać płaszcz biedaczkom. Zdaje się, że kolejarzom coś do głów dotarło, bo po całym dniu tego aresztowania zostały wypuszczone ze słowami:

– Macie szczęście, żeście tak głupio kradły! Widać, że nie umiecie, takie to z was nieprawdziwe złodziejki!

No i znów byliśmy razem. Ale to była bardzo przykra nauczka. Na przyszłość postanowiłyśmy być ostrożniejsze. Odetchnęłyśmy, kiedy pociąg ruszył.

Warunki naszej podróży niewiele się zmieniały. O żywność było coraz trudniej. Zdobywałyśmy na postojach, co się dało. Cierpiałymy niesamowity głód. Kiedyś pani Janina zdołała kupić całą miskę kiszzonej kapusty z żurawinami. Było tego tak dużo, że starczyło dla każdej po sporej porcji. Patrzyłam z zalem, że nie będę mogła jeść – bałam się z powodu biegunki, na którą cierpiałam, ale w końcu odważyłam się: Głód był silniejszy niż rozsądek. Powoli piłam sok, potem jadłam kęsy kapusty, aż w końcu zjadłam całą porcję. Skutek był cudowny – po kilku godzinach biegunka ustała, poczułam się zdrowsza. Widocznie wycieńczony organizm potrzebował właśnie tych witamin.

Na jednym z dalszych postojów znów ruszyłyśmy w poszukiwaniu jedzenia. Tym razem powiodło się nam niespodziewanie! Spotkałyśmy pociąg wiozący polskich żołnierzy. Kiedy wlokłam się obok pociągu, jeden z żołnierzy zawołał do mnie:

– Wy Polki? Z obozu?

– Tak – odpowiedziałam.

Ich pociąg już ruszał, ale zdążył wyrzucić mi jeszcze z wagonu dwa worki wspaniałych sucharów. Leżały teraz na ziemi, dość daleko jeden od drugiego. Byłam tak słaba, że nie mogłam nie tylko zabrać obu worków, ale nawet bliżej ich przyciągnąć. Usiadłam więc na jednym nie tracąc z oczu drugiego, w nadziei, że przyjdą moje towarzyszki i pomogą. Bałam się panicznie, iż w tym czasie pociąg może mi uciec. Ale dziewczęta przyszły. Okazało się, że i one w ten sposób zdobyły aż pięć worków. Obładowane sucharami, szczęśliwe, że mamy co jeść, wróciłyśmy czym prędzej do wagonu.

Jechałyśmy teraz w kierunku Taszkientu. Na jednej ze stacji – nie pamiętam jej nazwy – pani Stenia postanowiła pozostać, ponieważ wiedziała, że gdzieś niedaleko mieszka jej rodzina. Bardzo bałyśmy się puścić ją samą w drogę. Wtedy Tola postanowiła, że ją odprowadzi. Rozstawałyśmy się z wielkim smutkiem. Tyle trudnych chwil przeżyłyśmy razem, tyle zawdzięczałyśmy im obu, a teraz trzeba było się pożegnać. Pozostawiałyśmy je tam nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś się spotkamy... Z czasem dowiedziałam się, że pani Stenia z trudem odnalazła swoją rodzinę.

Wkrótce zdecydowałam się oddać dziecko, powierzone mojej opiece, do szpitala, zauważyłam bowiem, że podróż wyraźnie mu szkodziła (gdy pociąg ruszał, traciło przytomność). Na szczęście po drodze były różne punkty sanitarne i udało mi się ulokować to biedactwo w szpitalu. Chyba było to konieczne. Obawiałam się, iż dalsza podróż przyczyni się do śmierci dziecka.

4. DALEJ W ŚWIAT – PRZY WOJSKU POLSKIM (1942)

Nareszcie dojechaliśmy do Taszkientu. Tutaj było już sporo polskich oddziałów i większość naszych towarzyszek – młodszych i silniejszych – postanowiła zaciągnąć się do wojska. Została też z nimi pani Janina. Starsze i chore, między innymi i ja, postanowiłyśmy jechać dalej. Z młodszych została z nami tylko jedna, nieletnia jeszcze Helenka. Nasza grupa stopniała więc do dwunastu osób.

Wtedy to zostałam obciążona wielkim obowiązkiem: Wybrano mnie na kierowniczkę grupy. Było to trudne zadanie, gdyż cała odpowiedzialność za dalszą podróż spadła na mnie. Nie wiedziałam, dokąd jechać oraz jak daleko jeszcze do celu – już dawno zostawiliśmy za sobą Taszkient. Na jakiej stacji wysiąść? Skąd się dowiedzieć, gdzie stacjonuje sztab generała Andersa?

Powzięłam wtedy trochę nieprzemyślaną decyzję: wysiadziemy na pierwszej stacji – może uda nam się czegoś dowiedzieć; w najgorszym przypadku znajdziemy jakiś inny pociąg na południe i pojedziemy dalej.

Tak też zrobiliśmy. Pociąg zatrzymał się w nocy. Ciemno, śnieg, mróz straszny. Stoimy bardzo daleko za stacją. Powyrzucaliśmy wszystkie nasze rzeczy z wagonu i wysiadliśmy. Helenka dobrze mówiła po rosyjsku, wzięłam ją więc ze sobą i poszliśmy się dowiedzieć, gdzie jesteście. Dziewczyna poszła naprzód i zauważyła polskiego żołnierza. Ucieszona tym spotkaniem, wszystko mu o nas opowiedziała i prosiła o pomoc. Niestety, porucznik nie był zbyt przychylnie dla nas usposobiony. Szorstko odpowiedział, że to jest teren wojskowy, że tu nie wolno przebywać osobom cywilnym, i żebyśmy jechały dalej. Ba! Ale dokąd? Nasz pociąg już ruszył. Właśnie nas minął nasz dotychczasowy schron: nasz wagon.

Zdezorientowane postanowiłyśmy iść, aby odszukać jakieś domostwa, gdzie mogłybyśmy przenoćować.

Brnęliśmy w głębokim śniegu, przez ciemną noc, prawie wszystkie chore, siostra Imelda w gorącej blisko 40 stopni, mnie też powróciła poprzednia choroba. Ledwośmy się wlokły, w dodatku obciążone naszymi tobołami, ale szłyśmy, bo pozostanie w nocy na dworze groziło zamrożeniem. Przeszliśmy przez tory na drugą stronę i skierowaliśmy się tam, gdzie – jak nam się wydawało – znajdują się jakieś zabudowania.

Istotnie dobrze trafiłyśmy – doszłyśmy wprost do obozu naszych wojsk. Stały tam baraki i namioty. Weszliśmy do jednego z baraków i oto niemiła niespodzianka: ten sam nieuprzejmy porucznik, który na stacji rozmawiał z Helenką, był właśnie tutaj. Znów wywiązała się przykra rozmowa. Oficer poznał Helenkę i twierdził, że już raz kazał nam jechać dalej i nie będzie tego powtarzał. Zrobił się harmider, zbiegło się kilka osób i obserwowało tę scenę. Wtem jakaś mała dziewczynka, obudzona ze snu, zawołała:

– Tatusiu, to jest siostra Alexandrowicz!

Już po raz drugi odezwanie się dziecka było dla nas ratunkiem.

Znów potoczyło się wszystko, jak w bajce, bo oto okazało się, że ojciec dziecka, jeden ze świadków tej sytuacji, należał do grupy uchodźców, którzy wraz z nami zostali wywiezieni z Czarnego Boru. Cóż za opatrnościowe spotkanie! Jakże serdecznie byłam witana przez nich oboje – ojca i córeczkę! Dowiedziałam się, że ten człowiek czeka na przyjazd żony, ma dla niej i dla dziecka zapewniony lokal, mały pokoik, ale oddaje go do mojej dyspozycji, a dla żony znajdzie coś innego, bo on sam – jako wojskowy – musi pozostać w obozie. Na koniec dodał jeszcze, że nawet swoją najbliższą gaźę odda do mojej dyspozycji.

Byłam bardzo wzruszona tym spotkaniem i serdecznością, ale musiałam odmówić. Nie mogłam zostawić moich towarzyszek na łasce rozsierdzonego porucznika. Jednak po tej scenie porucznik szybko zmienił „front”. Przestał się irytować, wyraźnie zmiękł i nie tylko pozwolił nam zostać, ale nawet kazał nas nakarmić, co oczywiście przyjęłyśmy z największą wdzięcznością.

Wtedy okazało się też, że wysiadliśmy z pociągu na właściwej stacji. Był to Jangi Jul, miejscowość, w której kwaterował sztab generała Andersa!

Rozlokowałyśmy się jak się dało. Ja poszłam spać do namiotu. Zimno było straszne. Obok mnie leżała kobieta chora na tyfus. Z powodu choroby nie została przyjęta do wojska. Dygotała z zimna i

gorączki... Ja także. Zanim zasnęłam (kamiennym snem) postanowiłam, że nazajutrz od razu zacznę w miasteczku szukać dla nas kwatery, a potem zgłoszę się do sztabu.

Rankiem, zmarznięta na kość, wybieram się do miasteczka, a tu zjawia się przede mną porucznik i bardzo grzecznie prosi, abyśmy zjadły śniadanie. Ubawiłam się w duchu tą raptowną zmianą w postępowaniu porucznika, ale rada byłam ogromnie, że nie wyjdę głodna na mróz, i że cała nasza grupka też dostanie śniadanie.

Potem w miasteczku znalazłam ogromny pokój, gdzie mogłyśmy się wszystkie pomieścić. Był on jednak zupełnie pusty. Ale cóż było robić? Zamówiłam go, ucieszona, że mamy wreszcie dach nad głową.

Teraz trzeba było tylko wystarać się dla nas o pomoc ze sztabu. Porucznik twierdził, że się tam nie dostanę, bo nikomu nie wydają przepustek. Ale wzięłam ze sobą panią Irenę i postanowiłyśmy we dwie spróbować. Otóż szczęście sprzyjało pani Irenie, bo spotkała na terenie obozu znajomego, kolegę swego męża z wojska. Ten szybko się uwinął i wyrobił dla pani Ireny przepustkę, ale tylko dla niej. Co robić? Wszyscy twierdzą, że bez przepustki nie warto nawet próbować, jednak tyle razy już ryzyko prowadziło mnie do pomyślnego rezultatu, że i teraz postanowiłam iść z panią Ireną.

Widziałyśmy, że przed wpuszczeniem nas będzie tam kontrola sanitarna. Skrupulatnie więc przebrałyśmy się w czystą bieliznę, obejrzałyśmy wierzchnie ubranie (głowy na szczęście były czyste) i poszłyśmy do sztabu. Kontrola przy wejściu dała wynik nieoczekiwany: pani Irena była wolna od robactwa, a na mojej czystociuteńkiej koszuli znalazła się ogromna wesz! Naturalnie nastąpiła dezynfekcja ubrania, długie oczekiwanie, potem ubieranie się (ledwo zmieściłam się w moją suknię, tak się skurczyła), wreszcie idziemy dalej. Sprawdzanie przepustek... Pani Irena pokazuje swoją, a ja... poślizgnęłam się za nią, trzymając w zaciśniętej ręce fotografię Matuchny. Widać jej pomoc pozwoliła mi wyjść z opresji!

Idziemy dalej. Spotykamy księdza Włodzimierza Cieńskiego, który – jak się później dowiedziałam – był duszpasterzem, a raczej szefem duszpasterstwa na tym terenie. Oczywiście obiecuje nam swoją pomoc, ale zaraz na wstępie wypływa sprawa nieszczęsnej przepustki. Nie chciał wierzyć własnym oczom – jeszcze się nie zdarzyło, aby ktoś się przedostał na teren sztabu bez przepustki. Zaraz więc obiecał, że mi ten dokument wyrobi. Poszłyśmy za księdzem, który poszedł wprost do generała i po niedługim czasie wrócił z przepustką dla mnie. Mogłam więc już wchodzić bez obawy na teren sztabu.

Pani Irena, wraz ze swym znajomym, udała się na poszukiwania swojego męża i wkrótce odłączyła się od nas.

Dzięki zacnemu księdzu Cieńskiemu dotarłam aż do pułkownika Kosiby (był również spod Czarnego Boru). Po rozmowie z nim, bardzo serdecznej i życzliwej, otrzymałam pełne zadośćuczynienie za początkowe przykrości doznane od młodego porucznika. Pułkownik Kosiba dał mi na piśmie polecenie, że... porucznik ma żywić stale naszą jedenastoosobową grupę, dopóki nie zdecydujemy, co dalej będziemy robić. Mało tego, otrzymałam też kartkę do magazynu, na podstawie której mogłam brać rzeczy, które byłyby mi potrzebne.

Tak zakończył się pierwszy etap trudnej drogi do wolności: miałyśmy dach nad głową, zapewnione wyżywienie i byliśmy nareszcie bezpieczni – wśród swoich.

Jednak ten stan nie mógł trwać długo, gdyż trzeba było obmyśleć, co dalej robić, aby położyć kres naszej wędrówce.

Najpierw musiałam się zatroszczyć o swoje towarzyszkę. Udało się i dla nich uzyskać przepustki do sztabu. Chodziło o to, abyśmy wszystkie znalazły się pod opieką wojska i ewentualnie dostały jakąś pracę przy wojsku. Ja już taki przydział miałam. Generał Anders przydzielił mnie do wojska w charakterze sanitariuszki – na wojskowej gaży – i dostałam rozkaz udania się do szpitala w Guzarze. Miałam polecenie, aby jechać tam sama, ale koniecznie chciałam zabrać ze sobą siostrę Imeldę. Nie mogłam rozstawać się z nią, tym bardziej, że w tym czasie była chora. Nie miałam co prawda dla siostry pisemnego rozkazu wyjazdu ani biletu kolejowego, jednak zaryzykowałam.

Wyjechałyśmy z Jangi-Jul (po raz pierwszy) pociągiem osobowym dnia 13 marca 1942 roku.

Teraz dopiero ogarnął mnie lęk: jak tu przewieźć siostrę Imeldę bez przepustki, biletu i rozkazu. Przed samym wyjazdem postanowiłam uciec się do niezawodnego w Rosji sposobu: kupiłam z mojej pierwszej gaży wojskowej butelkę wina, aby tym darem przekupić kontrolera pociągu. W razie, gdyby wino nie wystarczyło, chciałam jeszcze dać czerwońca (w latach 1922–1947 radziecka jednostka pieniężna o wartości dziesięciu rubli). Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że kontrolerka pociągu, sprawdzając moje dokumenty, ledwo okiem rzuciła na papiery podawane jej przez siostrę Imeldę i nie

pytając o nic, machnęła ręką. Pojechaliśmy dalej, szczęśliwie, że na tym się skończyło, a wino i czerwonec zostały zaoszczędzone.

Na stacji Bojarsko wypadło nam się przesiąść. Noc, ciemno, nie wiadomo, do jakiego pociągu wsiadać, więc poszliśmy na stację, aby się czegoś dowiedzieć. Ja odważnie legitymuję się moim rozkazem, ale znów się boję, co będzie z siostrą Imeldą. Był to przecież teren wojskowy. Tu znów spotyka nas niespodzianka. Nie tylko, że nie kazano nam się wynosić, ale bardzo serdecznie i gościnnie wciągnięto nas do środka.

Weszliśmy. Izba pełna była wojskowych. Siedzieli bez płaszczy, niektórzy nawet bez bluz, w samych koszulach. A obok nich, na podłodze, leżały jakieś stosy tobołów, przykryte płaszcami. Trochę mnie to zdziwiło. Wojsko – i tyle bagażu? Sprawa wyjaśniła się niebawem. Oto w pewnej chwili zjawiła się jakaś dziewczynka i czym prędzej chciała się cofnąć. Wtedy wojskowi przywołali ją z powrotem i podobnie jak nas – wciągnęli do izby. Widząc to, zaczęłam się po trosze domyślać, co kryją te toboły pod płaszcami. Moje przypuszczenia okazały się słuszne, bo oto, kiedy wojskowi zaczęli się szykować do wyjścia z dworcowej izby, nieruchome toboły ożyły i wyrzały z nich wynędzniałe twarzyczki dzieci.

Otóż ci polscy żołnierze zbierali po drodze bezdomne, rozproszone, nieraz chore dzieci i zapewniali im opiekę. Przypuszczam, że przekazywali je potem do jakiś większych skupisk ludności polskiej, gdzie istniały już punkty opieki na uchodźcami. Prowadzili w ten sposób bardzo skuteczną akcję, która – jak miałam możliwość nieraz później zaobserwować – uratowała życie wielu ludziom. Żołnierze byli pełni poświęcenia. Piękna była ich postawa wobec tego ogromu niedoli, jaki spotykali na swojej, też przecież bardzo trudnej, drodze.

Wsiadaliśmy do pociągu razem z wojskiem. Żołnierze, mimo mrozu, pozostali w bluzach, otulając płaszcami niesione na rękach małe dzieci. Z całą tą grupą dojechaliśmy wreszcie do Guzaru. Musiałam zaraz zameldować się do pracy w szpitalu.

Oslabioną siostrę Imeldę zostawiłam na razie na stacji, chcąc załatwić pierwsze formalności i przede wszystkim znaleźć dla niej jakiś lokal. Poleciłam jej więc, aby czekała na mnie cierpliwie na stacji aż do godziny dwunastej w południe. Gdybym do tej pory się nie zjawiła, miała pójść do Punktu Opieki Społecznej i tam na mnie czekać. Chodziło o to, żebyśmy się nie rozłączyły, abyśmy mogły wspólnie pracować. Wyruszyłam więc na poszukiwanie kwatery oddziału sztabu.

Był wczesny ranek, kiedy zameldowałam się w sztabie. Polecono mi czekać do godziny dziesiątej. Wpadłam wtedy na pomysł, że skoro mam tak dużo czasu, to pójdę i poszukam żeńskiego obozu wojskowego, o którym słyszałam, że się gdzieś niedaleko znajduje.

Jak się później okazało, ten mój krok spowodował radykalną zmianę mojego losu, o czym wówczas nie miałam najmniejszego pojęcia.

Poszłam więc na poszukiwanie obozu. Droga była okropna. Właściwie była to rzeka błotnistej mazi, w której nogi grzęzły powyżej kostek. Zaraz przy wejściu zauważyłam wyjeżdżające ze szpitala wozy, pełne zmarłych na tyfus żołnierzy i oficerów – stosy zwłok przykryte płaszcami. Tych wozów naliczyłam trzydzieści sześć (podobny pogrzeb odbywał się – jak mi powiedziano – codziennie). Epidemia przybrała tak straszliwe rozmiary, że aż trudno sobie wyobrazić. Myślałam, że to właśnie w tym szpitalu będę pracować. Jakaż tu beznadziejna rola pielęgniarki, która tak niewiele będzie mogła pomóc wobec ogromu zarazy i ludzkiej niedoli?...

Myśląc o tym, szłam dalej mazistą drogą, a moje chore, opuchnięte nogi coraz bardziej odmawiały mi posłuszeństwa. Każdy krok był ciężką pracą. Wreszcie stanęłam: Absolutnie nie mogłam wyciągnąć nogi z błota. Ogarnęło mnie przerażenie. Złękłam się, że mogę tu zemdleć i zostać, że nie odnajdę siostry Imeldy – były to koszmarnie myśli! Widocznie z wycieńczenia dostałam jakichś przywidzeń. Zdawało mi się, że mam olbrzymią głowę, a ręce maleńkie, jak u dziecka, i znów na odwrót. Czułam, że powoli tracę zdolność rozumowania – ogarniały mnie rozpaczliwe myśli i odbierały resztki przytomności. Były to chwile nieopisanej męczarni.

Nagle usłyszałam człapanie kopyt i turkot wozu. Jechała młoda żołnierka, powożąc osiołkami. Zapytałam ją o obóz. Wskazała jakieś namioty naprzeciw mnie. Okazało się, że stoję na wprost obozu. Jak często w takich sytuacjach bywa – oprzytomniałam i zdobyłam się na nieludzki wysiłek przebrnięcia na drugą stronę drogi. Wszłam do obozu. Naprzeciw mnie wyszła kobieta – kwatermistrz obozu – która w pierwszej chwili bardzo opryskliwie do mnie się odniosła. Kazała mi natychmiast opuścić teren i nie dała mi przyjść do słowa. Kiedy nareszcie mogłam się odezwać, wyjaśniłam sprawę, opowiedziałam o przydziale do szpitala wojskowego w Guzarze w charakterze sanitariuszki, że

jestem siostrą zakonną, urszulanką, i że mam prywatną sprawę do komendantki obozu (chodziło o siostrę Imeldę).

Gdy kwatermistrz to usłyszała, radykalnie się zmieniła – szczerze uradowana objęła mnie za szyję. Wreszcie zaprowadziła mnie do komendantki. Ta po wysłuchaniu mojego opowiadania oświadczyła kategorycznie, że mnie z obozu nie puści. Nie pomogły moje protesty, że przecież rozkaz samego generała to nie przelewki, że muszę się stawić na oznaczony czas w szpitalu. Komendantka ani słyszeć o tym nie chciała. Stwierdziła, że jestem kompletnie chora, że muszę przebyć kwarantannę i że na tym terenie – jej podległym – tylko ona ma prawo decydować i rozkazywać.

Wobec takiej postawy nie pozostało mi nic innego, jak skapitulować. Uzyskałam tylko tyle, że pozwoliła mi pojechać po siostrę Imeldę tymi samymi osiołkami, które spotkałam po drodze. Powoziła też ta sama młoda żołnierka. Dobrze się stało, że pojechałam razem z nią, bo siostra Imelda, jak to po trosze przewidywałam, nie doczekawszy godziny dwunastej, wyruszyła sama drogą naprzeciw. Zabrałyśmy ją i powróciły do obozu.

Tutaj polecono nam odbyć kwarantannę. Niezależnie od tego odbywałam ćwiczenia, a komendantka przydzieliła nam – na przyszłość – funkcje w obozie: mnie oddelegowała do spraw oświatowych, a siostrę Imeldę do gospodarczych.

Nadchodziły święta Wielkiej Nocy. W obozie zaczęto przygotowywać teren i plac pod ołtarz polowy. W tym celu przysłano wojskowych z podchorążówki. Ci jednak niezbyt przykładali się do pracy i niewiele zrobili – pewnie już wiedzieli, że w najbliższym czasie odjadą. Razem z komendantką wyjechała też spora grupa żołnerek, udając się za granicę – do Persji. A my znów zostałyśmy w niepewności, co jutro przyniesie, także i dlatego, że pozostawiono niewiele prowiantu. Kuchnię nadal prowadziła siostra Imelda.

Nazajutrz po wyjeździe grupy kobiet przydzielono jednak nową komendantkę obozu i ona już zajęła się wszystkimi sprawami administracyjnymi.

My również miałyśmy z resztą obozu wyjechać do Persji. Kwarantannę już przebyłyśmy, był nawet ustalony termin wyjazdu. Jednak w przeddzień wyjazdu ponownie otrzymałam ze sztabu rozkaz stawienia się do pracy w szpitalu jako pielęgniarka. Zameldowałam o tym komendantce obozu, która zdecydowała, że mnie samej nie pozostawi i zapewniła, że zajmie się tą sprawą. Kazała mi zgłosić się nazajutrz rano po definitywną odpowiedź.

Kiedy przyszedłam o oznaczonej godzinie, nie zastałam jej, więc zdecydowałam się iść sama do sztabu, bo przecież rozkaz jest rozkazem. Pośpieszyłam do Guzaru, zaniepokojona nieobecnością komendantki. Spotkałam ją po drodze. Wracła ze sztabu z wiadomością, że uzyskała zgodę na mój wyjazd do Persji. Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy smuć. W szpitalu byłabym może pożyteczna, a tutaj otwierała się droga w nieznaną, która przejmowała mnie niepokojem...

Nie było jednak wiele czasu na rozmyślanie o przyszłości. Zaraz wyruszyłyśmy na dworzec. Wyjechałyśmy pozostawiając obóz, niedokończone prace przy porządkowaniu placu i ołtarza do Mszy świętej wielkanocnej...

Jazda trwała parę dni. Podczas tej podróży nabyłam się przykrej choroby: na obu rękach pojawił się świerzb. Co robić? Choroba jest bardzo zaraźliwa, mogę więc zostać gdzieś po drodze, w jakimś punkcie opieki, rozdzielię się z siostrą Imeldą i znów będę rozpoczynać nową peregrynację sama, w niewiadomym kierunku! Zdecydowałam się porozmawiać poufnie z jadącym z nami lekarzem, który dał mi jakąś maść do wcierania i polecił stale nosić rękawiczki. W ten sposób szczęśliwie wyleczyłam rękę.

Wreszcie dojechałyśmy nad Morze Kaspijskie do Krasowodska. Przed nami przybyły tu już całe tłumy uchodźców – dorosłych i dzieci. Przeprowa przez morze odbywała się bez przerwy, nie było mowy o jakiegokolwiek selekcji wśród ludzi. Wszyscy, bez wyjątku, byli zabierani na pokłady statków. I tutaj ogromną uczynnością odznaczali się żołnierze – zabierali wszystkich. Okrety były załadowane do granic możliwości: każda większa fala groziła zatonięciem. A tu właśnie, w czasie naszej przeprowy, nadciągnęła burza! Przeżyliśmy momenty straszliwej grozy. Ciasno stłoczeni na pokładzie, cierpiący na morską chorobę, byliśmy miotani falą jedni na drugich. Nawałnica była tak silna, że jednego żołnierza zmyło z pokładu do morza.

Wielką niespodzianką było dla mnie spotkanie z ciotecznym moim bratem Stanisławem Bełkowskim. Jak wzruszające jest takie spotkanie, wśród obcych, w koszmarnych warunkach, daleko od bliskich i od ojczyzny. Resztę podróży przez morze łatwiej mi było znieść, dzięki opiekuńczej obecności

meo brata. A wyczerpana byłam doszczętnie morską chorobą, która nie opuszczała mnie aż do chwili zejścia na ląd.

Wreszcie dotarliśmy do Pahlawi.

Byliśmy w Persji, w Wielki Czwartek, 1 kwietnia 1942 roku.

5. W PERSJI (1942–1944)

Zacząło się – jak zwykle – od zakwaterowania. Tłum wycieńczonych ludzi marzył tylko o tym, aby nareszcie poczuć twardy grunt pod stopami. Ale nie poszło to tak prędko. Do odpoczynku też jeszcze było daleko. Najpierw zatrzymano nas do dezynfekcji i kąpieli. Przy wejściu do długiego budynku trzeba było się rozebrać i wszystkie rzeczy pozostawić do spalenia. Po kąpieli wychodziło się drugą stroną, gdzie rozdawano nową, czystą odzież. Ja jednak – nauczona doświadczeniem – obawiałam się tej procedury. Widząc tłumy ludzi, pomyślałam sobie: a nuż zabraknie tej odzieży i co wtedy będzie? Mogło się tak stać, bo obóz był przygotowany na przyjęcie 2 tysięcy osób, a nieraz przebywało dziennie i 12 tysięcy! Przemysłnie więc zwinęłam bieliznę i suknię w mały węzełek (siostrze Imeldzie poradziłam, aby zrobiła tak samo), po czym weszliśmy do łaźni i tam – za belką pod prysznicami – udało się nam ukryć nasze ubrania. Jakże byłam sobie wdzięczna za ten pomysł! Istotnie zabrakło odzieży dla wszystkich...

Wreszcie umieszczono nas w namiotach. Były to raczej szałaszy ze słomianych mat o trzech bokach – jeden był otwarty, bez zasłony. Było nam w nich jednak zacisnie, a świadomość, że już nie grozi nam zatonięcie ani choroba, pozwoliła na spokojny odpoczynek.

I tu doświadczyłam nowej niespodzianki. Oto spotkałam znajomą z Lubcza, u której mieszkałam przed wysiedleniem. Była właścicielką sklepu. Znałam ją dobrze i dlatego – przed wysiedleniem – zdecydowałam się powierzyć jej walizczkę ze wszystkim przyborami do mszy świętej. Pani ta nie zawiodła mego zaufania, przechowała walizkę w Lubczu a potem na terenie w Rosji. Wiele osób było razem z nią na tak zwanym „wolnym przesiedleniu”. Duże grupy były kierowane do pracy. Wśród nich był też ksiądz. Oto dzięki tej walizce mógł on odprawiać potajemnie mszę świętą. Walizka ta – strzeżona pilnie – wszędzie się przydawała. Dzięki niej nie tylko msze święte, ale i chrzty i śluby były udzielane. Wreszcie, ze swoją opiekunką, przywędrowała aż tutaj, do Pahlawi. Ostatnio ta właśnie znajoma pożyczyła walizkę naszemu wojsku, aby w czasie zbliżających się świąt Wielkiej Nocy mogła znowu służyć do liturgicznych obrzędów. Wcześniej przez megafony przekazywano prośbę do wszystkich Polaków, aby wypożyczyli naczynia i szaty liturgiczne na ten cel. Okazało się, że tylko ten jeden komplet, zawarty w walizce, znajdował się na terenie, olbrzymiego przecież, obozu.

W Wielki Piątek zaczęto pośpiesznie ustawiać ołtarz polowy. Byliśmy pewni, że te wielkie święta spędzimy w atmosferze religijnej, a ja specjalnie cieszyłam tym, że nasze szaty i przybory liturgiczne umożliwią odprawienie Mszy świętej i obrzędów religijnych.

Niestety! O godzinie 3⁰⁰ z piątku na sobotę zarządzono pobudkę i wyjazd w dalszą drogę. Nie dane nam było świętować uroczyste Zmartwychwstania Pańskiego w obozie – miałyśmy je spędzić znów w drodze... Jedno tylko mnie pocieszało, że walizeczka pozostała przy wojsku i że dalej będzie służyć.

Tak więc w nocy zaczęłyśmy się pośpiesznie szykować do wyjazdu. Załadowano nas na ciężarówki. Droga znów była straszna. Prowadziła przez góry i wąwozy, ponad przepaściami. Pokonywanie licznych serpentyn i zakrętów przyprawiało o zawrót głowy. Jakimś cudem załadowane wozy utrzymywały równowagę i nie staczały się w głębokie przepaście. W tę drogę wysyłano tylko młodych, bardzo odważnych i sprawnych kierowców, a i oni, pewnie dla dodania sobie odwagi, pili przed podróżą trochę alkoholu.

Znów zaczęłam chorować – jak na morzu. Wstrząsały mną nieustanne ataki, tym cięższe, że nie mogłam nic jeść. Po raz pierwszy zobaczyłam wtedy owoce granatu. Próbowałam zjeść kilka ziaren, ale i to nie pomogło. W takim stanie tłukłam się wraz z całą grupą po wyboistej drodze aż do zmięchu. Wtedy zarządzono postój.

Kiedy trochę oprzytomniałyśmy, przypomnieliśmy sobie, że to przecież dziś jest Wielka Sobota. Zaczęłyśmy dopytywać się o księdza i szykować zaimprovizowane „święcone”: kawałki chleba i co która miała, kładłyśmy na plecach do poświęcenia. Ceremonii tej dokonał salezjanin, ksiądz Tomasz, który jeszcze długo potem wędrował razem z nami. Wtedy przyszedł do nas i wprost z manierki kropił nasze wielkanocne pokarmy.

Nazajutrz rankiem wyruszamy dalej, do Teheranu. Po całodziennej podróży dotarliśmy nareszcie do dużego obozu. Część uchodźców – ci, którzy wcześniej tam przyjechali – została rozlokowana w murowanych budynkach. Nasza grupa zapełniła wielkie hangary. Przedtem jednak dokonano spisu –

wszyscy musieli się zameldować. a potem nastąpiło wyznaczenie wart. Jej zadanie polegało na legitymowaniu osób, które chciały wejść na teren obozu. Personalia ich trzeba było następnie podać kaptanowi w kancelarii wojskowej.

Kiedy nadeszła moja pora, stanęłam na warcie i mimo zmęczenia i senności czuwałam, rozglądając się wokoło. Przed godziną 3.00 nad ranem spostrzegłam porucznika, który wchodził w skład tejże placówki wojskowej. Porucznik usiłował wejść na pilnowany przeze mnie teren. Podeszłam do niego i poinformowałam, że mam rozkaz nie wpuszczania nikogo na teren obozu. Porucznik nie ustępował, reagując tak ostro, że w końcu musiałam zażądać od niego danych personalnych. Widząc, że nic nie wskóra, zawrócił. Ja zaś byłam w rozterce. Nie wiedziałam, czy zameldować o incydencie z porucznikiem, czy nie. Bo tym meldunkiem na pewno naraziłabym go na przykrości, zwłaszcza, że wydawał mi się trochę nietrzeźwy.

Od tego niemiłego obowiązku wybawiło mnie zupełnie nieoczekiwane wydarzenie, które znowu spowodowało całkowitą zmianę w moim losie. Mianowicie, przyszedł ksiądz Tomasik i bardzo gorąco prosił, abyśmy z siostrą Imeldą objęły opiekę nad dwoma autokarami dzieci.

Sprawa przedstawiała się następująco. Do drogi (do Isfahanu) przygotowana już była cała kolumna wozów z uchodźcami. Wszystkie pojazdy miały swoich opiekunów. Był to właśnie ten transport wcześniej przybyłych z Rosji, którym opiekowała się wyżej wspomniana komendantka. Niemal w ostatniej chwili dotarła grupa 300 dzieci w różnym wieku, którymi w Teheranie opiekował się pewien brat zakonny. Był to człowiek ciężko chory na gruźlicę, nie mógł więc dłużej pozostawać z dziećmi. Postanowiono zatem dołączyć je do odjeżdżającej kolumny. Stąd te dwa dodatkowe autokary nie miały opieki i nie wchodziły w skład całej kolumny.

Tłumaczyłam księdzu Tomasikowi, że przecież jestem przydzielona do wojska, że mój odjazd byłby czymś w rodzaju dezercji. Ksiądz jednak obiecał, że załatwi tę sprawę. I rzeczywiście tak się stało (na moje miejsce dano kogoś innego). Wobec tego zgodziłam się z ochotą. Widocznie sądzone mi było stać się opiekunką dzieci i dalej z nimi wędrować. Był to zupełnie nieprzewidziany zwrot w moim życiu, który dał początek późniejszej mojej, długoletniej pracy wśród polskich dzieci na obczyźnie. Poczułam się nareszcie na swoim miejscu. Dziś jestem pewna, że cała nasza pełna udręki podróż miała mnie doprowadzić do tego właśnie miejsca, że był to decydujący punkt w moim życiu.

Poszliśmy więc do autokarów. Były w nim dwie grupy dzieci: jedne zupełnie małe, kilkuletnie, a osobno starsze, aż do 14 lat. Siostrze Imeldzie przypadły starsze, mnie powierzono opiekę nad młodszymi. Po naradzie postanowiłyśmy zrobić zamianę. Mnie bardziej odpowiadała opieka nad starszymi, siostra Imelda zaś znacznie lepiej radziła sobie z malcami. Brat, opiekun dzieci (który był tą zamianą trochę rozczarowany), żegnał nas ze łzami w oczach. Przed rozstaniem dał mi jednak bardzo ważną wskazówkę. Poinformował, że prowiant dla całej odjeżdżającej kolumny znajduje się pod opieką kierowniczkę grupy, pani Krystyny Skwarko. Otrzymała ona polecenie rozdzielania żywności równomiernie dla wszystkich. Robiła to jednak bardzo niechętnie. Nie wiem, czy chciała oszczędnie gospodarować powierzonym jej prowiantem, czy też miała bardziej na uwadze grupę, którą się bezpośrednio od dawna opiekowała – dość, że trzeba było bardzo twardo upominać się o należną część dla naszych dwóch autokarów. Byłam bardzo wdzięczna zakonnikowi, że mnie o tym uprzedził. Gdybym tego nie wiedziała, z pewnością powierzone mi dzieci byłyby pokrzywdzone w stosunku do innych.

Wreszcie, wąską autostradą, prowadzącą przez piaszczystą pustynię, wyruszyliśmy w drogę. Po obu stronach bezbrzeżny piasek. Pod żadnym pozorem nie wolno zjechać z drogi – gdy wóz ugrzeźnie, już nie będzie go można stamtąd wydobyć – po prostu utonie w nim bez śladu. Najbardziej niebezpieczne jest więc mijanie się pojazdów, gdyż na wąskiej jezdni dwa wozy nie mieszczą się obok siebie. Jeden więc musi bardzo ostrożnie cofać się tak długo, dopóki nie dotrze do szerszego odcinka szosy i dopiero wówczas, pomaleńku przejechać obok drugiego, bardzo uważając aby nie zawadzić bodaj jednym kołem o zdradziecki piasek.

Siódmego kwietnia, po przybyciu do Isfahanu, tę naszą 300-osobową grupę dzieci podzielono na trzy: około stu najmłodszych, w wieku przedszkolnym, zabrał do siebie protestancki pastor, lokując je w prywatnym domu oraz zapewniając im całkowite utrzymanie. Drugą grupę dziewczynek – również w liczbie stu – zabrały do siebie siostry szarytki (Francuzki), a ostatnia grupa chłopców znalazła się w klasztorze ojców lazarystów (misjonarze świętego Wincentego à Paulo), również Francuzów. Te dwie grupy, ulokowane są w klasztorach, utrzymywane były z funduszu papieskiego. Opieka nad dziećmi była wszędzie polska. U sióstr szarytek pracowało pięć opiekunek. Mnie przypadła grupa chłopców, toteż znalazłam się w klasztorze ojców lazarystów. Wraz ze mną przybyła tu do pracy pani Sawlewi-

czowa, nauczycielka szkoły powszechnej w Wilejce. Jak się okazało, dwie jej córeczki też były tutaj, wśród dzieci uchodźców. Po upływie miesiąca zdołała się z nimi skontaktować. Już do końca naszego pobytu w Persji przebywały w polskich zakładach opieki.

Niejedna rodzina złączyła się tu w podobny sposób. Na przykład podczas obchodów święta 3 maja, które zaraz po przybyciu urządziliśmy w zakładzie ojców lazarystów, odnalazły się rodzeństwa aż z pięciu rozproszonych rodzin (zgubili się przed kilkoma miesiącami). Było to wielkie przeżycie i radość. Ojcowie lazaryści byli tak wzruszeni, że postanowili częściej urządzać spotkania dzieci z różnych grup, które stale przybywały do Isfahanu.

Praca w zakładzie księży misjonarzy była bardzo ciężka z powodu różnego rodzaju trudności i braków. Przede wszystkim byliśmy tylko dwie na stu chłopców. Gdyby były to dzieci zdrowe, przywrócone do normalnego życia przez dłuższą opiekę i pobyt w dobrych warunkach, praca z nimi nie przedstawiałaby większych trudności. Na ogół byli to dobrzy i porządni chłopcy, niektórzy bardzo zdolni. Wśród nich była grupa bardziej samodzielnych, starszych chłopców, którzy przybywając z rozmaitych miejsc opieki w Rosji, jeszcze w Teheranie postarali się o przyłączenie do wyjeżdżających. A wszyscy, bez wyjątku, przybyli tutaj po długiej tułaczce, niedożywieni, po przebytych licznych chorobach. Nic więc dziwnego, że i tutaj zaczęli chorować, a czas rekonwalescencji trwał długo.

Najstraszniejszą plagą był świerzb i wszy – zwalczanie ich przychodziło z największą trudnością. Ropny świerzb atakował całe ciało, które stawało się jedną wielką, ropiejącą raną. Przełożony klasztoru przynosił nam lekarstwa. Świerzb można było wyleczyć dwoma płynami, którymi – na zmianę – trzeba było nacierać te biedne, chore ciała. Warunkiem zniszczenia pasożyta, który wżerał się głęboko pod skórę, było dokładne nacieranie całego ciała, od stóp do głów. Walka z chorobą trwała bardzo długo i wyczerpywała nasze siły. Podobnie rzecz się miała z plagą wszy. Dzieci były codziennie myte i przebierane w czystą odzież. Brudna szła do worków a potem do sióstr szarytek, które ją prały i gotowały, ale to nic nie pomagało – trzeba było je mechanicznie niszczyć. Była to walka wprost beznadziejna. Trudno pojąć, skąd się brały te tysiące insektów, wciąż od nowa rojące się na świeżo zmienianej bieliźnie i pościeli!

Oczywiście, wszy powodowały też wypadki tyfusu – i tak dwóch chłopców musiałam odprowadzić do szpitala.

Do tych dwóch plag dołączyła się jeszcze świnka i malaria. Ta ostatnia miała jakiś dziwny przebieg, zupełnie nietypowy, a bardzo ciężki. Trudno było postawić diagnozę. Poznał się na tym przełożony klasztoru i skutecznie leczył te biedne, wynędzniałe dzieci, doszczętnie wyczerpane atakami strasznej choroby.

Jak dalece były te dzieci schorowane, może pokazać taki wypadek. Przez dłuższy czas leczyłam chłopca, który miał na ciele i na głowie cieknące wrzody, które nie dawały się wygoić. Wyglądało, jakby cały organizm był przesycony ropą. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się od lekarza, Persa, że to jest tak silna awitaminoza. Zalecił, aby chłopca położyć do łóżka, bardzo dobrze odżywiać i podawać witaminy. Antybiotyków wówczas jeszcze nie było. Leczyłam go więc lekami otrzymywanymi z Instytutu Papieskiego. Chłopiec długo leżał w łóżku, ale kuracja skutkowała – powoli zaczął wracać do zdrowia: gorączka spadła, wrzody się goiły, organizm zaczął funkcjonować normalnie.

Najtrudniejszy był pierwszy okres, gdy było wielu chorych, a wszyscy wymagali pomocy lekarskiej i nieustannej pielęgnacji. Od godziny 8 do 11 rano, w wielkim pośpiechu, ledwo nadążałam wykonać wszystkie konieczne czynności przy ciężko chorych: podawanie lekarstw, opatrunki, karminie, mycie, przebieranie, ślanie łóżek – to wszystko trzeba było zmieścić w tych trzech godzinach. Potem odbywałam ze zdrowymi lekcje, na razie ograniczone tylko do lekcji religii, później dodałam gimnastykę.

W tym czasie p. Sawlewicz, z pomocą najstarszych chłopców, sprzątała cały zajmowany przez nas teren. Była to też bardzo uciążliwa i czasochłonna praca, bo trzeba było nie tylko posprzątać, ale również bardzo starannie przeglądać te wszystkie miejsca, gdzie mogło kryć się tępione przez nas robactwo. Szczególnie kłopotliwe było sprzątanie podłóg, które – jak wszędzie w tym kraju – były po prostu glinianym klepiskiem, które trzeba było skrapiać wodą i dopiero starannie zamiatać.

Prócz tego p. Sawlewicz uczyła chłopców przedmiotów ogólnokształcących. Lektury odbywały się wspólnie dla wszystkich zdrowych chłopców, niezależnie od wieku (od 5 do 14 lat). Takie zbiorowe nauczanie było bardzo męczące, ale z powodu braku nauczycieli nie było innego sposobu, za to dzieci były bardzo chętne do nauki i przeważnie zdolne.

Tak mijał czas do obiadu. Pamiętam zwłaszcza pierwszy obiad w tym klasztorze. Dzieci podzielono na dwie grupy. Pierwsza zastała pięknie nakryte stoły – karafki z chłodnym napojem, talerze, sztućce a

także wysoki, aluminiowy kubek do picia. Kiedy wstaliśmy od posiłku i dzieci wybiegły do ogrodu, zjawił się u mnie jeden z zakonników, bardzo zakłopotany, i z trudem, trochę na migi, trochę po francusku wytłumaczył mi, że nie ma czym nakryć dla drugiej zmiany dzieci, ponieważ pierwsi... zabrali ze sobą wszystkie kubki, a także sporo noży i widelców. Zdrętwiałam! Zaraz na początku taka przykrość! Nie mogłam uwierzyć, że dzieci pokradły te przedmioty. Po co im to?

Zawołaliśmy chłopców z powrotem i, mocno zagniewane, kazaliśmy im oddać zabrane nakrycia. Przyszli bardzo skruszeni, przynosząc ze sobą wszystkie zabrane przedmioty. Ale cóż się okazało? Kubki zostały przez nich ładnie rozplaszczane, wyklepane i z każdego z nich, za pomocą noży i widelców, wykonali płaskorzeźbę – orła polskiego. Nie wiedziałyśmy, czy się gniewać na nich, czy wzruszyć. Zabrałyśmy więc wszystkie te przedmioty – orły, noże i widelce – i zanieśliśmy oburzonemu zakonnikowi. Pokazałyśmy mu nieszczęsne szczątki kubków, przerobione na orzełki i z niepokojem czekałyśmy na reakcję brata. Gdy jednak obejrzał orzełki i zrozumiał, że dzieci porobiły sobie z nich symbole odległej ojczyzny, tak się tym przejął, że nie tylko darował przykrą szkodę małym winowajcom, ale dał im do zrozumienia, że jest wzruszony ich przywiązaniem do kraju. Poleciał, aby w przyszłości tego więcej nie robili, a do uzewnętrznienia patriotycznych uczuć znaleźli sobie inne, mniej kosztowne tworzywo. Tak się zakończył pierwszy obiad u zacnych księży misjonarzy.

Od tej pory czuwałyśmy bezustannie nad naszą gromadką, starając się zapłacić im także czas wolny. Było to bardzo wyczerpujące, bo i noce nie były spokojne – musiałyśmy pełnić również nocne dyżury. W ciągu dnia trzeba było uważać, aby nie wymykali się do winnicy ojców, położonej tuż przy klasztorze, bo bardzo chętnie to robili – kusiły ich zarośla pełne winnych gron, a znowu nocą zdarzały się wypadki, kiedy interwencja i opieka były konieczne. Na przykład niektóre dzieci miały przy sobie własne, drobne przedmioty, czasem jakieś owoce lub słodycze. Zdarzyło się, że jakiś łakomy malec dobrał się wieczorem do tych „skarbów” i wyciągnął część słodyczy i innych drobiazgów spod poduszek kolegów. Aby zaś odwrócić od siebie uwagę, porozrzucił posłanie, pozamieniał poduszki i po przyjściu dzieci do sypialni twierdził bardzo zburzony, że to jakaś dziwna „siła nadprzyrodzona” była tego przyczyną! Nikt oczywiście mu nie uwierzył, a nawet znaleziono u niego niektóre z zabranych przedmiotów, ale jeden z chłopców, widać bardzo wrażliwy i nerwowy, dostał jakiegoś szoku i od tej pory prawie nie sypiał po nocach, co chwila przywołując dyżurującą do swego łóżeczka. Taki stan trwał długo – dziecko doznało jakiegoś trwałego urazu na tym tle. Oto dlaczego musiałyśmy nawet nocą być przy nich. Nigdy nie było wiadomo, kiedy nasza pomoc okaże się potrzebna.

W okresie największego nasilenia chorób urządziłam infirmerię, co ułatwiało opiekę nad chorymi oraz opanowanie i hamowanie rozprzestrzeniania się chorób.

W pewnym momencie jednak sama poczułam się chora. Zaczęły mnie boleć wszystkie stawy. Staralam się nie poddawać się chorobie, bo jakże poradziłaby sobie pani Sawlewicz sama, skoro pracy na nas dwie i tak było za wiele. Jednak poruszanie się i każda najdrobniejsza czynność stawały się dla mnie coraz trudniejsze z powodu wzmagającego się bólu. Wreszcie przyszedł doktor, Pers, zbadał mnie (okazało się, że to zapalenie stawów) i kazał leżeć. Zalecił kurację, która prawdopodobnie byłaby skuteczna, gdybym mogła leżeć bez przerwy w jednej temperaturze. Bardzo się pocilałam, a tu jednak trzeba było wychodzić, więc wywiązało się zapalenie płucnej. Gdy zmierzyłam temperaturę okazało się, że mam 40,7 stopni. Byłam tak ciężko chora, że obawiano się, abym nie umarła w zakładzie, dlatego postanowiono umieścić mnie w szpitalu, który w niczym nie przypominał tego, co się powszechnie rozumie pod tym określeniem. Był to budynek pozbawiony całkowicie sanitarnego wyposażenia. Podobnie jak wszystkie domy w Iranie, nie miał podłogi, tylko gliniane klepisko. Znalazłam się w dużej izbie, gdzie oprócz mnie leżało 14 Persjanek. Resztką przytomności spostrzegłam, że się mną bardzo interesują. Leżałam na razie bez żadnej pomocy. Stan mój był bardzo zły. Persjanki – jak zauważyłam – stale o mnie mówiły, zwłaszcza gdy na sali znalazł się ktoś z personelu szpitalnego. Okazało się, że w ten sposób dawały wyraz swemu oburzeniu, że się nikt mną nie zajmuje. Pomagały mi także, gdy zwlekałam się z łóżka, aby wyjść. Kto wie, czy to nie im zawdzięczam, że po paru dniach przeniesiono mnie do małej izdebki (gdzie przedtem były jakieś szpitalne rupiecie) i sprowadzono lekarza. Był to Ormianin, mówiący dobrze po rosyjsku. Nareszcie mogłam się w miarę dobrze porozumieć. Początkowo leczono mnie stawianiem baniek, a że było ich tylko trzy, stawianie trwało całymi godzinami. Ormiański lekarz zorientował się wreszcie, co mi jest, i zabrał się do robienia mi punkcji strzykawką, która jakimś cudem znalazła się w szpitalu...

Chorowałam długo. W tym czasie doznałam wiele opieki od przełożonego księży misjonarzy. W szpitalu bowiem nie dawano żywienia. Chorym przynosili je z domu ich krewni. Toteż ojciec prze-

łożony zajął się tą sprawą. Sprowadził do szpitala – specjalnie dla mnie – kucharza, Persa, a produkty przysyłano z naszego zakładu. Wyżywienie było bardzo dobre i pomagało w rekonwalescencji.

Drugą osobą, której bardzo wiele zawdzięczam, była pani Sawlewiczowa. Mogę powiedzieć, że właściwie przyczyniła się ona do uratowania mi życia. Przychodziła do szpitala codziennie, przynosząc ze sobą dużą porcję soku owocowego. Sama go dla mnie przygotowywała. Ten odżywczy napój był najlepszym lekarstwem – niezbędnym widać przy tym wyczerpaniu. Oprócz tego codziennie przynosiła mi czystą koszulę, zabierając moją – przepoconą – do prania. Prała oczywiście też sama. Zdumiewająca jest ta wewnętrzna siła, która pozwala człowiekowi dokonywać rzeczy ponad siły, bo przecież, przy całym ogromie pracy w zakładzie, była to dodatkowa, ciężka robota, którą pani Sawlewicz wykonywała prawdopodobnie kosztem krótkich godzin odpoczynku. Wprawdzie przez cały czas mojej choroby pracował z nią w zakładzie ks. Tomasik, ale i tak ta dodatkowa opieka nade mną była dla niej wielkim wysiłkiem. Codziennie musiała pokonywać dużą odległość między zakładem i szpitalem, i to w porze największych upałów (z powodu bardzo gorącego klimatu nikt w Persji w godzinach południowych nie wychodzi na ulicę), ponadto obciążona była sokiem i czystą bielizną dla mnie. Jakim sposobem nie uległa ciężkiemu udarowi słonecznemu – nie wiem. Do dziś z podziwem i wdzięcznością wspominam jej wielkie poświęcenie.

Ile to ukrytych skarbów serca i sił fizycznych wyzwala z człowieka niedola oraz cierpienie własne i cudze! Zwłaszcza w tak niewyobrażalnie trudnym życiu przychodzi moc, która uodparnia, dodaje sił i przynagla do udzielania pomocy drugim. Jestem pewna, że sprawia to Bóg i Jego łaska zsyłana wtedy, gdy wszystkie ludzkie siły zawodzą, a zło i nieszczęście zdają się być ponad siły człowieka.

Gdy po chorobie, niemal cudem uratowana, wróciłam do ojców lazarystów, mowy nie było o objęciu pracy na powrót. Przez długie tygodnie leżałam w winnicy klasztornej, tak wyczerpana chorobą, że zupełnie utraciłam pamięć... Po pewnym czasie przeniesiono mnie do budynku, który był rodzajem sanatorium rehabilitacyjnego. Przebywał tam oprócz mnie jeden chłopiec, który również przeszedł zapalenie płucnej.

Po całkowitym odzyskaniu zdrowia nie powróciłam już do zakładu. Zostałam kierowniczką tego sanatorium, które później powiększono do 60 miejsc z 20-osobowym zespołem personelu.

Kolonia polska w Iranie stale się powiększała. Z czasem liczba dzieci, które rozmieszczono w 20 zakładach, wzrosła do 2000. Sanatorium, w którym pracowałam otrzymało nr 11, ale mojej pieczy powierzono także zakład nr 11 a – dla matek z niemowlętami. Do końca pobytu w Isfahanie miałam pod swoją opieką te dwa zakłady, a oprócz tego uczyłam religii w zakładach nr 6 i nr 12.

Oczywiście, w tym czasie zachodziły zmiany i przesunięcia wśród personelu, który się też odpowiednio powiększył liczebnie. Między innymi przyszła do pracy w sanatorium, w charakterze wychowawczyni, siostra Imelda. Jak już wspominałam, początkowo była przy najmłodszych dzieciach w domu pastora, potem przeszła do zakładu nr 5, aż wreszcie powróciła do mnie.

W związku z tak dużym wzrostem liczby zakładów, przeszły one na całkowite utrzymanie Delegatury Rządu Londyńskiego, która i tutaj została powołana. Ostatnim przedstawicielem tej placówki był dyrektor Stanisław Winiarczyk (lekarz weterynarii w Augustowie), który był człowiekiem bardzo zaangażowanym w sprawy polskiej kolonii. Kontakty z nimi wspominam bardzo pozytywnie. Nie zdarzyło się, aby odmówił spełnienia jakiegokolwiek prośby, a wszystkie nasze potrzeby zaspokajał z funduszu Delegatury (mogłam też korzystać z Funduszu Papieskiego, którym dysponowały siostry szarytki).

Gdy mowa o funduszach, muszę przytoczyć jedno znamienne wydarzenie. Wspomniałam już, że zaraz po przybyciu z Teheranu najmłodsze dzieci wziął pod swoją opiekę protestancki pastor i pokrywał wszystkie koszty ich utrzymania. Okazywał też daleko idącą troskę o dzieci. Oto przykład:

Wśród tej grupy znalazła się mała dziewczynka, lwowianka, która jako dwutygodniowe niemowlę przebywała wraz z matką i starszymi braćmi w więzieniu we Lwowie. Po zwolnieniu z więzienia, rodzina wyjechała do Teheranu. W drodze obaj bracia dziewczynki zmarli na dyfteryt, matka zagubiła się, gdy wyszła z pociągu po wodę. Dwuletnie wówczas maleństwo pozostało więc samo. Zanim w pociągu zorientowano się, co się stało, i zaopiekowano dzieckiem, odmroziło sobie ono ręce i nogi, i ciężko się rozchorowało w nieogrzewanym wagonie. Gdy dziewczynka dojechała na miejsce i została ulokowana w domu pastora, była już w stanie beznadziejnym. Otóż pastor zabrał ją do swojego prywatnego domu, a jego żona, wspólnie ze specjalnie zaangażowaną pielęgniarką, leczyła małą i w ten sposób uratowano jej życie.

Taki stosunek do nieszczęśliwych dzieci, troskliwa nad nimi, opieka i łóżenie na ich utrzymanie świadczyły o charakterze i sercu tego człowieka.

Był jednak i inny aspekt tej sprawy. Dzieci były w wieku 5-6 lat i w związku z tym należało się zająć ich wychowaniem religijnym. Załatwienia tego problemu podjął się ks. Tomasik. W długiej rozmowie z pastorem prosił go o pozwolenie nauczania religii katolickiej wśród jego małych podopiecznych. Ale tu natrafił na nieprzejednane stanowisko. Nie pomogły żadne argumenty, nie zgodził się na nauczanie religii w jego domu. Wtedy ks. Tomasik prosił, aby chociaż ołtarz można było tam urządzić i odprawiać przy nim nabożeństwa z udziałem dzieci. Jednak i ta propozycja spotkała się ze sprzeciwem, a pastor postawił sprawę jednoznacznie: jeśli zgodzi się na krzewienie w jakiegokolwiek formie katolicyzmu, to cofnie całkowicie swoje dotacje na dzieci.

– Wybierajcie, co wolicie – ołtarz albo chleb!

– Ołtarz – odpowiedział zdecydowanie ks. Tomasik.

Podjmując taką decyzję, ksiądz wiedział, na jakie naraża się ryzyko: W tym czasie nie było jeszcze w Isfahanie Delegatury rządu i utrzymaniem setki dzieci trzeba było obciążyć Fundusz Papieski. To obciążenie mogło się okazać zbyt duże...

Ale, jak w wielu innych, tak i w tym wypadku, czuwała nad nami Boża Opatrzność – niedługo po tej rozmowie zorganizowano placówkę Delegatury i można było utrzymać dzieci z funduszu Rządu Londyńskiego.

Jak już wspomniałam, od chwili powstania w Persji Delegatury, wszystkie dzieci utrzymywano już z jej funduszków. Wtedy to nastąpił dynamiczny rozwój polskiej kolonii w Isfahanie. Zakłady świetnie prosperowały, nauka i zajęcia były doskonale zorganizowane dzięki temu, że – odpowiednio do potrzeb – powiększała się liczba personelu. Dzieci były zdrowe, niczego im nie brakowało, przywykły nawet do klimatu. Został nawet zorganizowany nowy szpital do naszego użytku.

Wobec takiego stanu rzeczy doszłam do wniosku, że już wypełniłam tutaj swoje zadanie (nie byłam niezbędna w naszej kolonii). Bardzo pragnęliśmy powrócić z siostrą Imeldą do jednego z domów naszego Zgromadzenia w Rzymie, bo jeszcze nie można było przedostać się do Polski. W tym celu postanowiłam wystarać się o dokumenty, które umożliwiłyby nam podróż do Europy. Nie było to łatwe. Wszystkie potrzebne papiery musiały być przesłane do Rzymu przez Zgromadzenie, a korespondować można było jedynie za pośrednictwem poczty polowej – żadna inna nie docierała do adresata. Napisałam więc listy do sióstr przebywających w Rzymie. Jednak wysłałam je nie wprost do sióstr, ale do znajomych mi osób, będących na służbie w wojsku polskim (prosiłam o przekazanie ich do Rzymu). W listach przedstawiłam siostronom naszą chęć powrotu i prosiłam, aby jak najszybciej zajęły się tą sprawą i wyrobiły nam potrzebne dokumenty. Byłam całkowicie pewna, że korespondencja dotarła do Rzymu i czekałam na odpowiedź. Ale czas upływał, a wiadomości nie było.

W tym czasie przyszło pismo z Nowej Zelandii, w którym premier tego kraju, Peter Fraser, zapraszał polskie siostry do Nowej Zelandii, obiecując całkowitą opiekę i utrzymanie ze strony rządu.

Dyrektor Winiarczyk nie wziął jednak w ogóle pod uwagę tego zaproszenia, bo po pierwsze nie było potrzeby likwidowania placówki w Isfahanie, a po drugie istniały pewne niezupełnie korzystne aspekty tej propozycji. Mianowicie, dzieci zaproszono z zastrzeżeniem, że przyjadą tylko z personelem gospodarczym – bez nauczycieli i wychowawców. Dyrektor Winiarczyk wyraził słuszną obawę, że dzieci w Nowej Zelandii zostałyby rozproszone po domach prywatnych, fermach albo zakładach opiekuńczych, a to groziłoby im wynarodowieniem. Po latach na pewno wtopiłyby się bez reszty w ludność tamtejszą, a nawet mogłyby zatracić wiarę katolicką, wychowując się w otoczeniu protestanckim. Tak więc ta sprawa przeszła na razie *ad acta*.

Jednak życie przynosi zawsze jakieś niespodzianki i zmusza do zmian wcześniej podjętych decyzji...

Warunki naszego dalszego pobytu w Iranie zaczęły się szybko zmieniać. Wpłynęły na to nieznane mi bliżej względy polityczne – kraj ten faktycznie nie mógł już dłużej gościć naszej polskiej placówki. Należało więc, chcąc nie chcąc, rozpocząć likwidację tego dzieła, w które tak wiele włożono pracy i kosztów. Nie było jednak rady.

W pierwszej kolejności należało znaleźć miejsca, do których można byłoby wysłać całą polską ludność z kolonii, a następnie racjonalnie zaplanować przebieg transportu. Przy tym dyrektor Winiarczyk miał na uwadze takie miejsca, które dałyby możliwość powrotu wszystkich uchodźców do Polski. Nie było to łatwe, a przecież ten właśnie cel przyświecał całej olbrzymiej akcji opiekuńczej, której sięc rozciągała się na wiele krajów Wschodu.

Wielkiego wyboru nie było. Część starszych dzieci, wraz z ich opiekunami oraz sporo dorosłych uchodźców, wysłano do Afryki. Młodsze dzieci na razie pozostawały w Persji, ale i one miały niebawem wyjechać. I tu znowu wypłynęła sprawa Nowej Zelandii. Premier Fraser powtórnie przysłał zaproszenie na ręce Rządu Londyńskiego. Oprócz tego zarówno do Delegatury, jak i wprost na ręce dzieci zaczęły napływać listy od ich ojców, którzy jeszcze pozostawali na froncie. Tam – przeważnie pod Monte Cassino – poznali wielu kombatantów rekrutujących się z Nowej Zelandii. Wiedząc, że ci Nowozelandczycy powrócą do swojego kraju, ojcowie naszych dzieci prosili, aby je wysłać do Nowej Zelandii. Byli pewni, że tam znajdą one przyjaźń i opiekę wśród rodzin towarzyszy frontowych. Wreszcie nawet rząd w Londynie zaczął nie tylko nalegać na wysłanie dzieci do Nowej Zelandii, ale nawet ganił dyrekcję Delegatury za opieszałość.

Dyrektor Winiarczyk podjął zatem decyzję wysłania reszty dzieci do Nowej Zelandii, ale na własną rękę postanowił, że pojedą tam wraz z całym personelem, z wychowawcami i nauczycielami, a nie tylko z ekipą gospodarczą. Okazało się to w rezultacie znakomitym posunięciem, bo pozwoliło na bardzo intensywny rozwój polskiej kolonii dziecięcej, a rząd i mieszkańcy tego kraju, jak się później przekonałam, przyczynili się skutecznie do stworzenia naszym dzieciom doskonałych warunków życia. Sprzyjał temu również wspaniały klimat Nowej Zelandii. Można powiedzieć, że dzięki mądrym posunięciu dyrektora Winiarczyka dzieci udało nam się wychować dzieci w atmosferze polskiej i religijnej, że zachowały swoją polskość a wiele z nich zdobyło wykształcenie i stanowiska.

Ale to później. Teraz przysłała kolej na wyjazd z Isfahanu. Do grupy, która dotychczas pozostawała pod moją opieką, należało 736 dzieci oraz 80 osób personelu. W większości były to dzieci młodsze i słabsze. W następstwie tego wyjazdu, który miał nastąpić niebawem, zostałybyśmy z s. Imeldą same w Iranie. Od momentu wysłania listów do Rzymu upłynęło już wiele miesięcy i straciłyśmy nadzieję na otrzymanie odpowiedzi. W takiej sytuacji, mimo iż bardzo pragnęłyśmy już znaleźć się w gronie naszych sióstr, musiałyśmy zdecydować się na wyjazd do Nowej Zelandii, czyli na dalszą wędrówkę i na oddalenie się od Zgromadzenia. Było to zupełnie przeciwne moim pragnieniom, jednak okazało się znowu – podobnie jak w Teheranie – że muszę jechać z dziećmi, że takie jest zarządzenie i wola Boża. Podjęłam więc decyzję dosłownie w ostatniej chwili: jedziemy! Oczywiście z siostrą Imeldą.

Wyjazd nasz nastąpił 17 października 1944 roku.

Zanim opiszę ostatni etap podróży i nasz pobyt w Nowej Zelandii, chciałabym krótko scharakteryzować Iran i jego mieszkańców, kraj, w którym bądź co bądź przebywałyśmy dość długo, bo dwa i pół roku.

Iran to kraj o bardzo gorącym klimacie – ze wszystkimi dobrymi i złymi stronami tego faktu. Krajobraz natomiast – bardzo niejednorodny, kontrastowy; w okolicy Isfahanu – wspaniała tropikalna zielen, niebywała kolorystyka krajobrazu, cudowne niebo, zawsze niebieskie tak głębokim błękitem, jakiego nigdzie nie widziałam, nawet we Włoszech. Samo miasto tonie w zieleni. Gdy natomiast się jedzie w kierunku Ahwazu (miasto w południowo-zachodniej części kraju, port nad rzeką Karun) krajobraz zmienia się radykalnie: roślinność zanika zupełnie ustępując miejsca słońcem wypalanej pustyni. Na horyzoncie widać wysokie, skaliste góry a w powietrzu unosi się gęsty pył, podnoszony przez wiatr ze spękanej, pustynnej gleby.

Upały trwają tam nieprzerwanie, ale za to noce bywają chłodne – o zachodzie powietrze nagrzane stygnie, drga i faluje. Czasem tylko spadają tropikalne, gwałtowne nawałnice, istne potoki wody, kończące się równie gwałtownie jak nadeszły, ustępując miejsca nieskazitelnemu błękitowi nieba. Takie ulewę zdarzyły się tylko dwa razy podczas naszego pobytu w Isfahanie. Deszcze te, ożywcze i niezbędne dla wszystkiego, co żyje i rośnie, swą gwałtownością wyrządzają też duże szkody. Wiele tamtejszych domostw, ulepionych z gliny, potrafią rozmyć i zrównać z ziemią. Zdarzyło się raz, że rozmyty dach się zapadł i przykrył sobą jedno polskie dziecko, tak że tylko głowa wystawała spod gliny. Na szczęście nic się dziecku nie stało, nawet się nie obudziło!

Klimat tamtejszy sprzyja rozwijaniu się wielu chorób tropikalnych, a niezliczone chmury moskitów i komarów roznoszą malarię. Jest to najbardziej rozpowszechniona choroba w Persji, ciężka do zwalczania, często trudna do rozpoznania. Wielkie niebezpieczeństwa stanowią też skorpiony, których jest tam mnóstwo. Trzeba się dobrze wystrzegać ich śmiertelnego ukąszenia. Bardzo nieprzyjemne są hieny. Wprawdzie nie zagrażają człowiekowi, ale ich nocne, przejmujące wycie jest bardzo denerwujące, zwłaszcza gdy się wie, że szukają żeru i że nie zawsze zadawalają się zwierzęcą padliną. Na cmentarzach irańskich zmarli chowani są bez trumien, wprost do ziemi, a groby przyciskane wielkimi płytami kamiennymi. Jednak zdarza się, że hieny i tak potrafią się dostać do grobu...

Noce w Iranie są pełne przeróżnych głosów. Nic dziwnego, bo ludzie żyją tam głównie w nocy, bo w ciągu dnia nieopisany żar bardzo utrudnia jakąkolwiek aktywność. Wielu ludzi, chroniąc się przed gorącym w zamkniętych pomieszczeniach, sypia na płaskich dachach domów. Ja również nieraz oczekiwałam momentu, gdy wszyscy już zasnęli i kładłam się na płaskim dachu. Tam, chroniąc się pod szczelną moskitierą, słyszałam wszystkie odgłosy nocy. Nad ranem, około trzeciej-czwartej godziny, budziły mnie dzwoneczki wielbłądzych karawan. Ich delikatny, rytmiczny brzęk do taktu stąpających wielbłądów, miał niezwykle, typowo wschodni urok.

Iran, gdy chodzi o poziom gospodarczy i stosunki społeczne, to kraj wielkich kontrastów, podobnie jak i jego przyroda. Isfahan jest miastem bardzo bogatym. Pełno tam wschodniego, bajkowego przepychu, a wspaniałe wystawy sklepów wypełnione są srebrem i turkusami. W ogóle turkusy spotyka się wszędzie – na rozmaitych przedmiotach codziennego użytku, jako ozdoby stroju, a nawet na uprząży osiołków. Bogaci Persowie opływają we wszelkie dostatki. Obok tego – skrajna nędza. Przy wspaniałych, bogatych budowlach – lepianki z gliny. Na ulicach mnóstwo żebraków natrętnie domagających się jałmużny. Żebrzą również dzieci. Zewsząd wyciągają się małe rączki z prośbą: „kuczullu pull” (mały pieniążek)!

Nie było tu wówczas obowiązku uczęszczania do szkoły, więc dzieci spędzały czas przeważnie na ulicach. Wiele nieletnich pracowało, zwłaszcza przy produkcji dywanów. Pracowały nocą, w ciężkich, prymitywnych warunkach – były chętniej przyjmowane niż dorośli, bo ich drobne ręce bardzo zręcznie tkwały trudne desenie na słynnych perskich kobiercach a ponadto można było im o wiele mniej płacić.

Niezależnie od tych niesprawiedliwości i kontrastów społecznych, w Persji panuje ogromny fanatyzm religijny. Przepiękne meczety o potężnych wieżach wzywają wiernych do modlitwy głosami muezzinów. Podobnie jak w Turcji, i tutaj każdy – na głos płynący z wieży meczetu – rozkłada dywanik i klęcząc odmawia przepisane modlitwy. W jednym z meczetów widziałam też taką scenę: w podziemiach w wielkiej, mrocznej sali ozdobionej roślinami i pełgającymi gdzieś wśrodku nich światłami, snuły się całe sznury kobiet pogrążonych w modłach – były to matki oczekujące potomstwa. Tutaj modliły się o szczęśliwe przyjście na świat dziecka.

Nie wszędzie wolno wejść „niewiernym”, więc też nie wszystko można zobaczyć, ale są i publicznie odprawiane religijne obrzędy, dające wyobrażenie o fanatyzmie, nawet – można powiedzieć – o okrucieństwie w praktykach religijnych. Do takich należy tak zwany „pochód pokutny”, który miałam możliwość oglądać. Odbywa się on raz w roku. W czasie tego pochodu nie wolno żadnemu Europejczykowi, wyjść na ulicę, jeśli nie chce stracić życia (według bowiem tutejszych wierzeń zyskuje wielką zasługę ten z uczestników pochodu, który zabije chrześcijanina). Stałyśmy więc z dala od okien, na krzesłach, i przyglądałyśmy się temu ponuremu widowisku. Ludzie szli równymi szeregami, całą szerokością jezdni. Już z daleka słychać było rytmiczne, głucho dźwięki, podobne do uderzenia w deski. To pierwsza fala pokutników: Idą uderzając z całych sił dłońmi w piersi, do taktu powolnych kroków. Za nimi następna grupa. Ci mają w rękach dyscyplinę, zakończoną ciężarkiem, i równie rytmicznie uderzają się nią przez prawe ramię. Następna grupa biczuje się przez lewe ramię. Wreszcie idący na końcu mają dyscypliny w obu rękach i uderzają się z obu stron. Krew spływa obficie po plecach... Widok jest wstrząsający. Milcząca ludzka masa maszerująca rytmicznie, półnaga, opływająca krwią, w jakimś dzikim zapamiętaniu przyprawia o dreszcz grozy. Rzeczywiście, lepiej nie znajdować się na drodze takiego pochodu!

Nie wiem, czy opisywane przeze mnie zjawiska społeczne i praktyki religijne trwają do dziś, wówczas jednak, kilkadziesiąt lat temu, tak to wyglądało.

Dziwne, a czasem i nieoczekiwane reakcje Persów można też zaobserwować w stosunku do cudzoziemców (tutaj w szczególności mogę mówić na przykładzie Polaków). Sam fakt, że pozwolili na założenie placówki polskiej w Isfahanie, świadczy o ich na ogół przyjaznym nastawieniu do nas. Dopotogli nam też dużo na przykład w dziedzinie medycznej: korzystaliśmy, jak już wspomniałam, z porad lekarzy Persów i z ich szpitali (dość wspomnieć przyjazne zachowanie Persjanek w stosunku do mnie, gdy leżałam chora w szpitalu). Zdarzył się też wypadek, którym zaskarbiłyśmy sobie ich wdzięczność. Pewnego razu stałam na balkonie naszego zakładu i spostrzegłam, że podchodzi kilka kobiet, Persjanek. Kiwiają na mnie i gestami dają wyraźnie do zrozumienia, żebym z nimi poszła. Trochę się obawiałam iść sama, nie wiedziałam, czego mogłyby chcieć ode mnie. Kiedy podeszła do mnie jedna z sanitariuszek w białym kitlu, Persjanki jeszcze bardziej nagląco wzywały, aby zejść do nich. Poszłyśmy więc. Zaprowadziły nas do jednego z domów przy tej samej ulicy i tam pokazały nam ma-

ły, szary tłumoczek, z którego wystawała główka dziecka. Przyjrząwszy się bliżej stwierdziłyśmy, że dziecko jest już prawie konające – ledwo chwyta powietrze i sinieje. Persjanki dawały nam to samo do zrozumienia i gestami prosiły o ratunek. Chciałyśmy przede wszystkim uwolnić dziecko z powijków, jednak to okazało się niemożliwe. Przesycone wydzielinami szmaty trzymały całe ciało jak w gipsowym pancerzu.. Trzeba było użyć nożyc do ich rozcięcia. Asystujące przy tym kobiety kiwały aprobująco głowami i wydawały okrzyki zadowolenia. Gdy na koniec rozszerzyłyśmy szparę, w przecięciu ukazał nam się żalostny widok: całe ciało dziecka było zaropiałe i zsiniałe. Jednak gdy ostrożnie jeszcze bardziej rozsunięłyśmy te okropne powijaki, natychmiast nastąpiła poprawa w stanie niemowlęcia. Zaczęło normalniej oddychać i powoli ustępowała też siność z twarzy. Persjanki w żywiołowy sposób okazywały swoją radość. Nie było łatwą rzeczą wyleczenie skóry dziecka. Długi czas chodziłyśmy do tego domu, lecząc i pielęgnując niemowlę, które wreszcie powoli zaczęło powracać do zdrowia. Persjanki, po tym wydarzeniu, przy każdym spotkaniu okazywały nam swą wdzięczność.

Mimo przyjaznego do nas stosunku mentalność tego narodu znacznie różniła się od naszej. Szczególnie można to było zaobserwować w traktowaniu kobiet (zwłaszcza cudzoziemek) i dzieci. Stanowiły one niewolniczą siłę roboczą. Musiałyśmy dobrze strzec naszych dzieci, aby nie były porywane do perskich domów. Raz schwyte dziecko nie odnajdywało się już nigdy. Na szczęście w naszej kolonii to się nie zdarzyło, ale wiem, że bywały takie wypadki. Był też w zwyczaju handel dziećmi. Mnie samej zdarzyło się raz coś podobnego. Jadący wozem Pers zauważył mnie, gdy niosłam na rękę jedno z naszych dzieci. Zaczął mi na migi pokazywać, żebym mu dziecko oddała. Kiedy pokręciłam głową przecząco, wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów i podawał mi je z daleka. Gdy i teraz nie chciałam oddać dziecka, wyciągnął nową porcję pieniędzy, dokładając do poprzedniej paczki. Przeraziłam się i czym prędzej uciekłam z dzieckiem do domu. Rozpowszechnione było także porywanie kobiet do haremów lub w ogóle do domów, w charakterze siły roboczej. Znam z wiarygodnych źródeł pewną historię. Zaczęła się ona bardzo romantycznie. Młody i urodziwy arystokrata perski zakochał się w dziewczynie, Polce. Jej matka sprzeciwiała się bardzo tej znajomości, jednak dziewczyna nie słuchała. Zafascynowana urodą, bogactwem i obietnicami Persa, który przedstawił jej życie z sobą jak bajkę, była ślepa i głucha na wszelkie perswazyje matki. Wreszcie matka wyjechała z córką z Teheranu, ukrywając się z nią w Isfahanie. Pers jednak nie dał za wygraną i odnalazł dziewczynę. W końcu matka musiała ulec, ale postawiono pewien warunek: ślub będzie katolicki, w kościele francuskim, żona będzie miała swobodę wyznania i wychowania dzieci po katolicku. Ślub istotnie odbył się w kościele, z wielkim przepychem, urządzono potem przyjęcie, równie wspaniałe, wreszcie młoda para odjechała do domu pana młodego. Cóż się jednak okazało? Natychmiast po przyjeździe Pers ulokował swą ukochaną razem z innymi trzema swoimi żonami-niewolnicami, kazał ją przebrać w strój perski i traktował na równi z nimi. Niedługo potem urodziła synka, ale oczywiście mowy nie było o swobodzie w jego religijnym wychowaniu.

Nie wiem, jak się skończyła ta historia. Doszły mnie słuchy, że podobno udało jej się uciec do dzielnicy Ormian, a ci dopomogli jej wyjechać do Palestyny.

Mnie również zdarzyła się niemiła przygoda, która na przyszłość nauczyła mnie większej ostrożności. Pewnego razu zmuszona byłam wyjść z domu w najgorętszej porze dnia, aby zanieść (w naznaczonym terminie) sprawozdania z działalności zakładów. Koniecznie musiałam dostarczyć je przed godziną 12. W powrotnej drodze czułam już ogromne zmęczenie upałem, który dochodził do szczytu. Szłam coraz wolniej i marzyłam o tym, żeby nadjechał jakiś samochód, którym mogłabym dostać się do zakładu, tym bardziej, że po obu stronach drogi kłębiło się istne mrowie Persów, którzy wyszli z fabryk, widocznie na przerwę. Cały ten tłum widział mnie i zachowywał się bardzo nieprzyjaźnie. Mówiąc po prostu – bałam się, żeby mnie nie poturbowali albo nie zabrali ze sobą. Szłam właśnie przez most, kiedy usłyszałam warkot samochodu. Obejrzałam się i to widocznie skłoniło kierowcę do zatrzymania wozu. Gestykulując, zachęcił mnie, żebym wsiadła do szoferki. Byłam niezdecydowana i trochę się obawiałam, bo twarz tego człowieka trochę mi się nie podobała. Z drugiej strony czułam, że się nie dowlokę do zakładu. On tymczasem dał do zrozumienia, że wie, dokąd jechać i gdzie przystanąć. Kiedy wsiadłam, ruszył i zaczął jechać coraz prędzej. Widząc, że zbliżamy się do celu, dawałam mu znaki, aby przystanął, jednak on, wprost przeciwnie, dodał jeszcze gazu i minął nasz zakład. Wtedy chciałam pchnąć drzwiczki wozu, bo myślałam, że może mnie nie zrozumiał, i że ten mój gest zmusi go do zatrzymania się. Jednak to wywołało odwrotną reakcję. Mężczyzna jedną ręką chwycił mnie mocno za ramię, a drugą trzymał kierownicę. Zrozumiałam, co się dzieje. Byłam przerażona. Pers trzymał mnie jak żelaznymi kleszczami, samochód pędził szybko. Wszystkie nerwy miałam na-

pięte do ostatecznych granic. Nie wiedziałam jak postąpię, ale byłam przekonana, że muszę stąd uciec, i to natychmiast, bo czułam, że czasu jest niewiele. Drzwiczki szoferki przezornie zostawiłam przytknięte, choć Pers kazał mi je zatrzasnąć. Rękę trzymałam na klamce. W pewnej chwili rozłoszczony kierowca puścił na chwilę moje ramię i z całych sił mnie w nie uderzył. Zamachnął się po raz drugi. Ale nie czekałam na następny cios. Był to jedyny moment do ucieczki. Pchnęłam uchylone drzwiczki i wyskoczyłam. Pamiętałam tylko tyle, że z jadącego pojazdu trzeba skakać w kierunku ruchu... W chwilę potem leżałam już na kamienistym poboczu. Wszystko to trwało oczywiście znacznie krócej, niż opis tego zdarzenia. Było to kilka sekund, w których zadecydował się mój los. Wróciłam do zakładu z trudem, mocno potłuczona, a całe dłonie i kolana miałam obdarte ze skóry. Cud, że nic nie złamałam.

Mój powrót w takim stanie wzbudził w zakładzie zrozumiały popłoch. Przyszedłszy do siebie, opowiedziałam moją przygodę. Kategoriecznie też poleciłam, aby nikt z zakładu nie wychodził sam, a także zabroniłam korzystania z podobnych „usług” i w ogóle jakichkolwiek kontaktów z Persami.

Wszystkie te przykre wspomnienia, łącznie z moją przygodą, pokazywały, jak niebezpieczny może być pobyt w Iranie bez oparcia o zorganizowaną grupę, jaką była polska kolonia i Delegatura.

W Nowej Zelandii stosunki okazały się pod każdym względem diametralnie inne niż te, jakie panowały w Iranie.

Ale to już następny etap moich dziejów na obczyźnie. Nie przewidywałam wówczas, że potrwa tak długo, bo aż trzynaście lat.

6. W NOWEJ ZELANDII (1944–1958)

Decyzję o wyjeździe powzięłam powodowana jednym z tych nagłych impulsów, jakie często są przyczyną wielkich przemian życiowych. Na początku wydają się one niezrozumiałe, ale są – tak myślę – jakimś przecuciem woli Bożej, która pcha człowieka w kierunku przez niego niezamierzonym. I dopiero później okazuje się, że był to jedyny, właściwy kierunek, jedyna słuszna decyzja.

Przyznać muszę, że duży wpływ na moją decyzję miała również siostra Imelda, która od początku bardzo pragnęła wyjazdu do Nowej Zelandii, a w decydującym momencie dodała mi odwagi do przedsięwzięcia podróży.

A że ta moja decyzja została powzięta dosłownie w ostatniej chwili, więc do odjazdu miałyśmy raptem trzy godziny: od dziewiątej rano do dwunastej. Gdybyż chodziło o wrzucenie do walizki garstki osobistych rzeczy! Ale tu trzeba było załatwić wiele koniecznych formalności, związanych z wyjazdem do tak odległego miejsca. Oprócz tego należało uporządkować wszystkie pozostałe sprawy. Na to wszystko – trzy godziny!

Kiedy jechaliśmy już autobusem, bardzo chciałam pożegnać się z jedną dziewczynką z naszego grona, która nie mogła wyruszyć z nami, ponieważ leżała chora w szpitalu. Jednak dyrektor, pan Winiarczyk, nie pozwolił się zatrzymać: Nie było już ani chwili do stracenia! Fakt, że pozostawiam w Persji jedno z moich zakładowych dzieci bez pożegnania, bardzo mnie zasmucił.

17 września 1944 roku wyruszyliśmy więc w tę daleką i – jak się później okazało – niebezpieczną podróż. Było nas 80 osób personelu oraz 736 dzieci w wieku od czterech do kilkunastu lat. Personel tworzyły osoby pełniące najrozmaitsze funkcje, a więc: nauczyciele, wychowawcy, pracownicy gospodarczy i administracyjni, służba sanitarna itd. Jechały również z nami nasze nieocenione towarzyski: pani dr Czochańska i dentystka, pani Dawidowska. Ponadto siostra Imelda i ja oraz nasz duszpasterz, ks. Michał Wileniewicz. Opiekunem grupy na statku był delegat Rządu Londyńskiego, pan Jan Śledziński.

Załadowaliśmy się na niewielki statek, który zupełnie nie był przystosowany do przewozu tak dużej ilości pasażerów. Na statku nie było ani kabin, ani jakichkolwiek pomieszczeń sypialnych. Wegetowaliśmy więc na pokładzie, śpiąc jak się dało, brudni, spragnieni (bo brakowało wody), cierpiąc w dodatku dotkliwie z powodu wielkiej ilości komarów, które cięły nas niemiłosiernie. To, że nikt nie zachorował i że wszyscy dotrwaliśmy do momentu przeniesienia się na inny statek, było naprawdę widomym znakiem opieki Bożej nad tą gromadą małych tułaczy.

Przez Ahwaz dotarliśmy do Bombaju (miasto w Indii, największy port morski), gdzie przesiedliśmy się na amerykański statek o nazwie „Gen. Randall”, który wiozł amerykańskich i nowozelandzkich żołnierzy, powracających z wojny. Amerykanie, w dużej liczbie, byli polskiego pochodzenia, co było dla nas bardzo miłe. W porównaniu z poprzednim, obecny nasz „pływający dom” wydawał się naprawdę komfortowy. Wkrótce jednak zaczęły ujawniać się różne niebezpieczeństwa, bo płynęliśmy przez wody gęsto zaminowane i kryjące w sobie niemieckie łodzie podwodne. Nasz statek nie był wyposażony w przyrządy służące do wykrywania tego niebezpieczeństwa. Aby uniknąć katastrofy, musiał co 8 minut zmieniać kierunek, gdyż tyle czasu potrzeba, aby łódź podwodna zdołała wykonać manewry niszczyielskie. Płynęliśmy więc serpentyną o długich i gęstych pętach, co oczywiście bardzo przedłużało czas podróży. Ponadto stale nam towarzyszyło poczucie wielkiego zagrożenia wybuchem podwodnym. Grozę sytuacji potęgowało i to, że byliśmy eskortowani przez samoloty wojenne, które leciały przed i za statkiem.

Mimo tych wszystkich faktów życie nasze na statku byłoby zupełnie przyjemne, gdyby nie specyficzne okoliczności: zetknięcie się dwóch tak odmiennych światów – żołnierze powracający z wojny i dzieci. Jak wiadomo, dzieci to element niesforny, ciekawski i dostarczający opiekunom licznych emocji, tym większych, że było wśród nich sporo dorastających dziewcząt, na które trzeba było mieć baczne oko.

Żołnierze bardzo lubili dzieci. Nasze maluchy towarzyszyły im wszędzie. Były obdarowywane słodyczami i owocami, noszone na rękach. Wszak wśród tych mężczyzn, powracających do ojczystych stron, było wielu ojców oderwanych od rodzin... Ta przyjaźń i swoboda doprowadziła niechcący do nieoczekiwanych wydarzeń.

Pewnego razu zauważyliśmy jakiś niezwykle ruch. Załoga gorączkowo krążyła po pokładzie i wewnątrz statku, który zaczął się jakoś dziwnie zachowywać. Cóż się okazało? Oto nasi ciekawscy chłopcy, wędrując po całym okręcie, dostali się gdzieś, gdzie znajdowały się najważniejsze urządzenia i maszyny. I tu, niezauważeni przez nikogo, rozpoczęli swoje manipulacje, przykręcając i odkręcając nieznanie sobie śruby. Nikt na razie nie mógł dojść przyczyny nieprawidłowości, wreszcie jednak schwytano małych „mechaników” na gorącym uczynku i dzięki Bogu na tym się przygoda skończyła. Strach pomyśleć, do czego mogła doprowadzić ta odkrywczą pasja niesfornych chłopców! Od tej pory ustalono w wielu miejscach ciągle warty, aby uniknąć w przyszłości podobnych incydentów.

Wreszcie podróż nasza dobiegła końca i w dniu 1 listopada 1944 roku przybiliśmy do gościnnych brzegów Nowej Zelandii.

Nie wiem, jakich użyć słów, aby opisać to, co się potem działo. Byliśmy bowiem witani nie tylko życzliwie i radośnie, jak mili goście, ale zostaliśmy przyjęci po prostu z miłością, jak odnaleziona po latach rodzina. Samo przybijanie do brzegu, które zazwyczaj jest i uciążliwe, i długie, przeszło zupełnie niezauważone. Przenieśliśmy się z pokładu na ląd wprost w ramiona witających nas ludzi. Wśród nich były całe szkoły i organizacje społeczne ze sztandarami – tłum wiwatujących na cześć Polski.

Opuszczający statek żołnierze nieśli małe dzieci na rękach. Zewsząd sypały się kwiaty, całe naręcza kwiatów... Powitanie przerodziło się w spontaniczną manifestację na cześć umęczonego narodu polskiego, którego przedstawicielami były te wszystkie biedne, wynędzniałe dzieci, bezdomne sieroty, a które tutaj właśnie, na tej ziemi miały znaleźć szczęśliwy azyl, a wiele z nich, gdy dorosły, drugą ojczyznę.

Dowiedziałam się później, że powitanie to zostało na żywo sfilmowane i że ten film wielokrotnie wyświetlano w Nowej Zelandii. Ja również otrzymałam jego kopię.

[O całej podróży, powitaniu i o niektórych późniejszych wydarzeniach z naszego życia w Nowej Zelandii wspomina też ks. Lucjan Królikowski w swojej książce pt. *Skradzione dzieciństwo*, wydanej w Londynie.]

Ale nie tylko ludzie witali nas tak radośnie! Wydawało się nam, że całe otoczenie: port, miasto, daleki horyzont i upalne, błękitne niebo również swoim pięknem i urokiem uśmiechają się do nas, jakby cała ta bajeczna, kolorowa wyspa brała nas w swoje ramiona.

Stolica Nowej Zelandii, Wellington, jest miastem rozległym i pełnym zieleni. Nie ma w nim żadnej monotonii. Doskonale rozplanowane dzielnice, pełne kolorowych, ślicznych domów, tworzą harmonijną całość i stapiają się w jedno z okolicznymi wzgórzami, na których widnieją liczne domki, małowicznie położone, otoczone ogrodami. Wszędzie jest tu bujna, przepiękna roślinność. W łagodnym klimacie wyspy, jak w olbrzymiej oranżerii, kipi ta oszałamiająca flora, a wszystko razem – nawet ocean, cichy i spokojny w okresie lata – wydawało się nam jakąś baśniową krainą, do której zostaliśmy przeniesieni jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

To wszystko zawdzięczaliśmy premierowi Nowej Zelandii – Peterowi Fraserowi. Podczas całego naszego pobytu w tym kraju odnoszono się do nas zawsze tak samo jak na początku, z niesłabnącym, szczerym zainteresowaniem i opiekuńczą troską. Rząd Nowej Zelandii dbał o wszystkie nasze potrzeby.

Umieszczono nas w osiedlu niedaleko Wellingtonu, w miejscowości Pahiatua. Było ono poniemieckim obozem, odpowiednio przerobionym i przystosowanym, i znakomicie zaopatrzonym we wszystko, co w tych warunkach było nam potrzebne. Nadzór administracyjny nad nim sprawowały wojskowe władze nowozelandzkie.

Zaraz po przyjeździe zorganizowaliśmy tam szkoły dla naszych podopiecznych. Powstało więc przedszkole, szkoły podstawowe i gimnazjum ogólnokształcące. Z wyjątkiem przedszkola i gimnazjum, nauka odbywała się osobno dla dziewcząt i chłopców. Powstały też kursy: ogrodniczy i krajecki. Kierownictwo obozu przygotowało pomieszczenia tak, że można było szybko rozpocząć regularną naukę.

W miarę rozwoju osiedla okazało się, że zabraknie nam pomieszczeń na szkołę. Gdy tylko zwróciliśmy się z tym do władz, szkoła została wybudowana w ciągu tygodnia. To prawda, że nie były to solidne, murowane bloki, tylko wielkie baraki z płyt pilśniowych i drewna. Ale prawie wszystkie domy w Pahiatua były tak budowane, ze względu na zagrożenie trzęsieniem ziemi, a także łagodny klimat (zima jest stosunkowo ciepła, śniegu nie ma wcale, czasem tylko szron i lekkie przymrozki).

Te okoliczności nie zmieniają faktu, że szkoła wyrosła jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, co dowodzi, jak dobrą i szybką w decyzji była nasza „wróżka”, zacytuję premiera Fräsera.

Jakkolwiek osiedle było administrowane przez Nowozelandczyków, to nasza mała społeczność stworzyła tam ośrodek czysto polski. Wraz z naszym opiekunem, panem Szczęsnym Zalewskim, dbaliśmy wszyscy o to, aby dzieci wzrastały w atmosferze polskiej i choć trochę czuły się jak w ojczyźnie, którą opuściły. Nad pięknie położonym osiedlem zawisła – obok nowozelandzkiej – polska flaga.

Lekcje i zajęcia odbywały się po polsku. Drugim językiem był angielski. Poziom nauczania był wysoki (dbał o to wykwalifikowany personel).

Dzieci, stosownie do wieku, zostały podzielone na grupy i miały swoich wychowawców. Jedną z grup chłopców, mieszkającą w oddalonej części pawilonu, miała za opiekunkę siostrę Imeldę. Ja opiekowałam się dziewczynkami, poza tym powierzono mi pieczę nad kaplicą. Religii uczyły trzy osoby: ks. Michał Wileniewicz, pani Wanda Pietrasińska i ja.

Ksiądz Michał był osobą niezwykłą. Autorytet u dzieci oraz wpływ na nie miał ogromny. Zdarzyło się na przykład, że jeden z chłopców miał zostać zaadoptowany przez bardzo zamożną rodzinę. Przebywał nawet tam przez pewien czas, otoczony komfortem. Jednak, mimo iż chłopiec był traktowany jak rodzony syn, zachodziła obawa, że może stać się obojętny w rzeczach wiary lub ulec wpływom przybranej rodziny – była to bowiem rodzina protestancka. Przy najbliższym spotkaniu z chłopcem, ksiądz Michał powiedział tylko te słowa:

– Wydaje mi się synu, że to nie jest miejsce dla ciebie.

W dwadzieścia cztery godziny chłopiec pożegnał swoich przybranych rodziców, rozstał się z luksusowym życiem i powrócił do nas.

Podział pracy między nami dwiema, to znaczy między siostrę Imeldę i mnie, uległ wkrótce zmianie. Na moją prośbę zdecydowano oddać chłopców wyłącznie pod opiekę osób świeckich, a dziewczynkami zaopiekowała się siostra Imelda. Mnie pozostało nauczanie religii i piecza nad kaplicą. Było to posunięcie słuszne z wielu względów, ale przede wszystkim dlatego, że pozwalało nam być bliżej siebie i tworzyć wspólnotę zakonną, co było naszą wielką potrzebą duchową. Byliśmy przecież tylko dwie wśród bardzo licznego grona osób świeckich!

Tak upływały lata, dzieci dorastały. W związku z tym stanęliśmy wobec konieczności wysłania grupy najstarszych do Wellingtonu, gdzie mogły iść na wyższe studia lub do pracy – po uprzednim zdobyciu jakiegoś zawodu. Było to konieczne tym bardziej, że gimnazjum ogólnokształcące i krawieckie w Pahiatua zostały zlikwidowane. Tu pozostała tylko szkoła podstawowa. Zgodnie z decyzją premiera Frasera, miała ona istnieć tak długo, aż wszystkie dzieci ją ukończą. Gdyby natomiast dalej zamierzały się uczyć, powinny chodzić już do szkół nowozelandzkich i to katolickich. Decydując o tym, że dzieci polskie powinny uczyć się w szkołach katolickich, premier Fraser podkreślił, że „skoro są dziećmi narodu katolickiego, to muszą być w tym duchu wychowywane”. Ta wypowiedź nabiera szczególnej wagi i dlatego, że sam premier był protestantem. Mało tego, jeżeli chodzi bowiem o szkołę podstawową w naszym osiedlu, premier postanowił utrzymać ją aż do ukończenia jej przez wszystkie dzieci z tego względu, żeby uczyły się właśnie w języku polskim: istniało przecież prawdopodobieństwo, że mogą się spotkać z rodziną lub wrócić do Polski.

Tak więc szkoła powoli się zmniejszała w miarę, jak dzieci dorastały i wreszcie pozostała ich taka garstka, że trudno było dalej ją prowadzić. Wtedy dzieci poszły do podstawowej szkoły nowozelandzkiej, a rząd płacił pensję nauczycielce – Polce, która przychodziła do szkoły i tam uczyła języka polskiego, historii i geografii Polski.

W Nowej Zelandii, dziecko, po ukończeniu piętnastu lat, ma swobodę wyboru: pójść na studia, czy wyuczyć się zawodu i zacząć pracować. Gdy piętnastoletni obywatel obiera jakiś zawód, od razu, jako uczeń, otrzymuje zapłatę. Początkowo jest to niewielka suma, w miarę jednak postępu w nauce zawodu otrzymuje systematycznie podwyżki – aż do całkowitego usamodzielnienia się. W tym kraju obowiązuje zasada, że brakującą do pełnego utrzymania kwotę dopłaca się uczniowi z pieniędzy rządowych. Przy czym nie chodzi tu tylko o utrzymanie i ubranie, ale także bierze się pod uwagę potrzeby kulturalne, rozrywki, a nawet pewną sumę, która powinna być przez młodego człowieka zaoszczędzona i złożona w banku (tę ostatnią kwotę rząd wpłaca na konto bankowe ucznia). Ponadto każdy uczący się zawodu otrzymuje całkowitą wyprawkę osobistą, ubranie i inne niezbędne do życia przedmioty. W miarę wzrostu zarobków zmniejszana jest dotacja państwowa.

Dzieci polskie zostały przyjęte na tych samych prawach. Kiedy grupa najstarszych chłopców opuszczała nasze osiedle, trzeba było udać się z nimi do Wellingtonu, aby tam pomóc im w dokonaniu wyboru dalszej drogi, nie tracąc jednak kontaktu z nimi i roztaczając nad nimi dalszą opiekę. Część z nich, zdolniejsi, poszli do gimnazjum *St. Patrick College*, a reszta do nauki zawodu (ślusarstwo, sto-

larka i inne). W ten sposób wyłoniła się konieczność stworzenia w Wellingtonie bursy dla tych chłopców. Z pomocą przyszedł nam ks. prałat John Kavanagh z kurii biskupiej (był pośrednikiem między kurią a rządem). Uzgodniwszy wszystkie warunki, ksiądz Kavanagh zakupił w Wellingtonie dom, w którym miała być urządzona bursa dla 40 chłopców. Obok niego znajdował się drugi, mały, stary domek, który po dokładnym wyremontowaniu miał stanowić mieszkanie dla nas, to znaczy dla siostry Imeldy i dla mnie.

Urządziłyśmy też małą kaplicę między bursą a naszym domkiem. Tak więc z dniem 26 sierpnia 1946 weszłyśmy w nowy okres pracy, przenosząc się do bursy dla chłopców w Wellingtonie, w dzielnicy *Island Bay*. Obie, na zmianę z siostrą Imeldą, zajmowałyśmy się pracą gospodarczą, zaś porządkami w całości – chłopcy. Ja ponadto wykładałam chłopcom wieczorami historię i język polski. Pracę tę prowadziliśmy aż do momentu zorganizowania bursy dla dziewcząt, do której przeszłyśmy, a na nasze miejsce przyszedł personel świecki.

Kiedy teraz wspominam ten czas, widzę jak wiele doznaliśmy opieki Bożej, która uwidoczniła się na każdym kroku, choćby w tym, że zewsząd byliśmy otoczeni ludźmi dobrej woli.

Rzuceni przez los daleko od kraju – garstka wygnańców w zupełnie odmiennym środowisku – doznawaliśmy od wszystkich tylko dobroci i współczucia, gotowości opieki i pomocy, począwszy od premiera, a skończywszy na zupełnie nieznanach osobach, niemających nic wspólnego z nami. Na ulicach i wszędzie nasze dzieci były jakby pod stałą opieką każdego przechodnia. Często zatrzymywały się auta, proponując podwiezienie do celu. A nasi wychowankowie, poumieszczani w domach prywatnych w Wellingtonie, byli traktowani na równi z rodziną.

Takie przyjazne traktowanie ze strony Nowozelanczyków budziło w naszych sercach wielką wdzięczność, ale również bardzo dopomagało w naszej pracy wychowawczej. Pewność, że gdziekolwiek się znajdują nasze dzieci, będą otoczone właściwą opieką, ujmowała nam ciężaru odpowiedzialności za zdrowie i moralność naszej gromadki.

Były też osoby, które samorzutnie ofiarowywały nam konkretną pomoc. Spośród nich najbardziej pamiętam panią Ruby Fleming. Zdarzyło się pewnego razu, że do naszej bursy w Wellingtonie przyszła nieznaną mi osobą i zaraz na wstępie zaczęła coś bardzo gorąco tłumaczyć w języku angielskim, żywo gestykułując. Nie znałam jeszcze wówczas języka angielskiego, a więc nie mogłam też zrozumieć, o co chodzi. W końcu jednak zdołałyśmy się na migi porozumieć. Okazało się, że ta pani chce nam koniecznie pomagać w pracy, dlatego właśnie, że jesteśmy Polakami, że dzieci są sierotami, słowem, z wzruszającą serdecznością chciała ofiarować nam swój czas, którego, będąc matką rodziny, nie miała przecież za wiele. Zaprowadziłam ją więc do kuchni, gdzie właśnie przygotowywałyśmy obiad. Wytłumaczyłam siostrze Imeldzie, o co chodzi.

– O, to doskonale – powiedziała siostra – pomoże nam pani robić „gołąbki”, bo są dziś na obiad.

Ten wyraz *gołąbki* był pierwszym, jakiego się pani Fleming nauczyła w języku polskim! Potem przez długi czas przychodziła do nas, pomagając w każdej pracy. Stała się naszą przyjaciółką. Takich faktów było wiele, ale już te wyraźnie ilustrują nastawienie społeczeństwa wobec nas.

Dalszym etapem naszej pracy było urządzenie drugiej bursy – dla dziewcząt. Wiele z nich, już dorosłych, poszło do pracy i mieszkały, jak wspominałam, w prywatnych domach, w rodzinach nowozelandzkich. Wiele z nich chciało się dalej kształcić, trzeba więc było i je jakoś zgromadzić w jednym domu i otoczyć opieką, bo mimo wszystkich przejawów dobroci i serdeczności tutejszego społeczeństwa, zawsze groziło niebezpieczeństwo wynarodowienia, a tego chcieliśmy za wszelką cenę uniknąć. Postępując tak realizowaliśmy również zalecenia premiera, który przy każdej okazji powtarzał, że dzieci polskie winny być wychowywane po polsku, w polskiej atmosferze, zgodnie z religijnymi i kulturowymi tradycjami swojej ojczyzny.

Odbiegając nieco od tematu, muszę jeszcze wspomnieć dwa bardzo znamienne wydarzenia, charakteryzujące stosunek władz nowozelandzkich do nas. W rocznym budżecie, na utrzymanie polskich dzieci, rząd przeznaczył 70 000 funtów. W czasie debaty nad tą pozycją, z ław poselskich odezwał się głos: Dlaczego tak mało? Niech dzieciom polskim będzie tutaj tak dobrze, aby nigdy nie chciały opuścić naszego kraju! Słowa te chyba nie wymagają komentarza.

A oto drugi fakt: kiedy po kilku latach kończyła się kadencja urzędowania premiera Frasera, ten, w czasie oficjalnego przekazywania godności swemu następcy, podszedł do niego ze słowami:

– Mam do ciebie jedną wielką prośbę: o to, byś otoczył polskie dzieci taką samą opieką, jaką były dotychczas otaczane.

Solenna obietnica i gorący uścisk dłoni nowego premiera zakończyły tę wzruszającą scenę. Mając więc zapewnione takie poparcie i przyjaźń, byliśmy przekonani, że sprawa zorganizowania bursy dla dziewcząt nie przysporzy wielkich trudności, zwłaszcza, że i liczba opiekunek miała się powiększyć o trzy siostry zakonne, które już wkrótce miały przybyć z Francji. I rzeczywiście, stosunkowo szybko udało się doprowadzić nasze plany do pomyślnego końca, choć, mimo wszystko, na początku było sporo trudności i kontrowersji, jak zwykle, gdy chodzi o jakieś ważniejsze przedsięwzięcie.

I znów głównym motorem działań w sprawie zdobycia odpowiedniego pomieszczenia na bursę był ks. prałat Kavanagh, ale wstrzymywał się z załatwianiem spraw, dopóki nie przyjadą siostry z Francji – wszak chodziło o większą liczbę opiekunek i pracowniczek bursy.

Wreszcie doczekaliśmy się przyjazdu sióstr. Dnia 26 sierpnia 1947 roku przybyły do Wellingtonu: dwie siostry Polki – Franciszka Maślak i Augustyna Sobczak, oraz trzecia, Irlandka – siostra Bernarda Brennan. Zamieszkały na razie w klasztorze nowozelandzkim, a pracowały w bursie dla chłopców.

Wówczas ksiądz Kavanagh wynalazł piękny, ogromny dom, właściwie był to pałacyk pewnego milionera, ślicznie położony w parku, w otoczeniu wspaniałej roślinności. Pałacyk został zakupiony. Pewną część kosztów pokryła kuria biskupia, a resztę – oczywiście rząd nowozelandzki. A była to suma niemała. Już 8 grudnia 1947 roku dom przy *Queen's Drive* w Wellingtonie stał się własnością kurii biskupiej, z przeznaczeniem na bursę dla dziewcząt polskich zarówno tych, które już pracowały, jak i tych, które uczyły się w szkołach.

Ponieważ osiedle w Pahiatua kurczyło się coraz bardziej, liczyliśmy się z tym, że i reszta jego mieszkańców przeniesie się do Wellingtonu, nawet te najmłodsze. Ponadto myśleliśmy, że gdy wszystkie dziewczęta dorosną i opuszczą bursę, bądź wyjeżdżając do rodzin za granicą, bądź też wychodząc za mąż w Nowej Zelandii, wtedy przeznaczony na bursę dom dla Polaków, którzy by tego azylu potrzebowali, to znaczy zarówno dla dzieci, jak i dla ludzi starych, pozbawionych innych możliwości życia i potrzebujących opieki. Bursa została przez księdza bardzo szybko przygotowana do zamieszkania.

Wyposażono ją bogato. Nie brakowało absolutnie niczego. Na razie, żeby dom nie stał pusty, zamieszkał w nim ksiądz Kavanagh. A ponieważ w Nowej Zelandii wszystko realizuje się w szybkim tempie, w ciągu bodaj tygodnia przybyła już do domu siostra Bernarda oraz dwie starsze dziewczynki: Hela Nawrocka i Henia Nosarzewska.

Potem stopniowo dom się zapełnił – przybywało coraz więcej dziewcząt z prywatnych domów i osiedla.

No i właśnie w tym czasie rozpoczęły się nowe kłopoty. Podczas rozmowy ks. Kavanagh powiedział mi, że plan jego uległ zmianie, i że (w imieniu Kurii) życzy sobie, aby dom był zamieszkały tylko przez dziewczęta pracujące, w tym połowa dziewcząt nowozelandzkich, a połowa polskich. Reszta, tj. młodsze dzieci polskie i te, które uczyły się w szkołach, miały być ulokowane w domach prywatnych.

W ten sposób sytuacja niewiele by się zmieniła – duża część dziewcząt w dalszym ciągu byłaby poza zasięgiem naszej opieki. Nie mogłam więc przyjąć tej propozycji. Prosiłam księdza, aby powrócił do swego pierwotnego stanowiska. Ksiądz Kavanagh jednak się opierał. W bursie było już sporo polskich dziewcząt, były również siostry, trzeba więc było szybko uzyskać zgodę księdza, bo lada dzień mógł zacząć, według swego planu, sprowadzać do domu Nowozelandki.

Byłam w wielkiej rozterce duchowej. Nasz dotychczasowy, najlepszy opiekun i przyjaciel nagle tak twardo przeciwstawił się mojej i dawnej swojej koncepcji, nie dając się przekonać!... Nie wiedziałam, co robić. Modliłam się i prosiłam Ducha Świętego, aby mnie wsparł swym światłem w tej trudnej sytuacji. Polecałam też tę sprawę naszej Matuchnie. Był to dla mnie okres pełen wielkiej udręki. Czułam zdecydowanie, że powinnam zgromadzić w bursie wszystkie dziewczęta, że inaczej ta nowo powstała placówka chybi celu, że stanie się domem dla dorosłych panien różnych narodowości, panien już prawie samodzielnych, które może niezbyt byłyby podatne do kierowania sobą i nie zawsze (zwłaszcza Nowozelandki) potrzebowały opieki zakonnicek. A cała młodsza część dziewcząt miałaby być rozproszona po domach, gdzie wprawdzie były kochane, ale ulegały wpływom środowiska i wymykały się spod naszej opieki, co nie tylko groziło wynarodowieniem, ale także utratą lub zmianą wiary.

Tutaj chcę dobitnie podkreślić to, że nie chodziło mi o jakiś narodowościowy separatyzm, bo potem, jak naszych Polek ubywało, przyjmowaliśmy do domu dzieci nowozelandzkie, maoryskie i innych narodowości.

Powodowana jakimś impulsem, chyba właśnie od Boga pochodzącym (bo nie umiałam tego sobie inaczej wytłumaczyć), powzięłam desperackie postanowienie. Wiedziałam, że w porcie wellingtońskim znajduje się wielu Polaków, zdemobilizowanych żołnierzy i marynarzy, którzy, nie mogąc z rozmaitych przyczyn wracać do Polski, pozostali w Nowej Zelandii, zarabiając na utrzymanie pracą fizyczną. Prawie nic o tych ludziach nie wiedziałam i zupełnie nie umiem powiedzieć, dlaczego postanowiłam zwrócić się do jednego z nich o pomoc. Był to były kapitan marynarki, pan Szczerba-Nifidowicz. Wyluszczyłam mu swoją sprawę, poparałam wszystkimi argumentami, prosząc o radę: co robić, jak i u kogo interweniować, aby nikogo nie urazić, a na swoim postawić. Kapitan Nifidowicz zainteresował sprawą bursy swoich kolegów. Wszyscy ci eks-żołnierze gremialnie obiecali swą pomoc twierdząc, że na polach walki przysięgali sobie i swoim kolegom, że zawsze i wszędzie będą się opiekowali dziećmi polskimi, wszystkimi dziećmi, a specjalnie tymi, których ojcowie walczyli i ginęli w czasie wojny i okupacji niemieckiej. Okazało się więc, że nie mogłam lepiej trafić w swojej rozterce i bezradności: oto delegacja byłych wojskowych z kapitanem Szczerbą-Nifidowiczem na czele udała się do władz państwowych w Wellingtonie z petycją w wymienionej sprawie. Jak i co mówili, nie wiem, ale interwencja była skuteczna. Po porozumieniu się rządu z kurią, otrzymałam upragnioną decyzję: dom miał pozostać własnością kurii, ale użytkowany miał być tylko przez Polaków, będących pod naszą opieką.

W połowie grudnia 1947 roku bursa żeńska już zaczęła funkcjonować. I my się już wszystkie tam przeniosłyśmy, to znaczy siostra Imelda, siostra Marcina i ja. Ksiądz Kavanagh mógł pozostawić dom pod naszą opieką.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia były bardzo wzruszające. Wszystkie czułyśmy, że nareszcie przybyliśmy do przystani, w której będziemy żyć bezpiecznie, pod Bożą opieką. Ale piętrzyło się przed nami jeszcze wiele trudności.

Dom był duży. Z każdym dniem przybywały nowe mieszkanki, dziewczęta starsze i młodsze, a wraz z nimi przybywało też i pracy. Było nas tylko pięć do prowadzenia całego domu, a dziewcząt już przeszło 80. W tej sytuacji stało się koniecznością przyjęcie do pracy świeckiego personelu, zwłaszcza administracyjno-gospodarczego. Gdy o tym mówiłam ze starszymi dziewczynkami, spotkałam się ze szczególną reakcją. Oto dziewczęta jednomyślnie prosiły, aby nikogo nie przyjmować, że one same, ile ich jest, zajmą się pracą gospodarczo-porządkową pod naszym kierunkiem.

– Nie możemy – mówiły – zgodzić się na to, aby pracowali tutaj nie-Polacy. Zmieniłoby to zupełnie atmosferę domu.

Były zrośnięte z tym domem, był on ich domem rodzinnym. Dlatego zadeklarowały dobitnie, że tak jak w domu rodzinnym pomagały w pracy matce, tak też i tutaj będą to robić. Zapal i żarliwość, z jaką to mówiły, przekonały mnie, ufałam im. Wzięłam na siebie jeszcze jedną, odpowiedzialną czynność: jako prowadząca całość pracy, byłam odpowiedzialna za prawidłowe funkcjonowanie wszystkich działów. Teraz przybyła mi troska o to, aby zapal młodych moich pomocnic nie ostygł, żeby wywiązywały się dobrze z dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków. Aby tę współpracę uregulować i dokonać podziału zajęć, trzeba było ułożyć regulamin, który – nie ograniczając naturalnej swobody – zapewniłby porządek we wszystkich dziedzinach życia naszego domu. Ułożyłam więc ten regulamin i przedstawiłam dziewczętom, które zgodziły się nań bez zastrzeżeń. Był to zasady funkcjonowania naszego domu we wszystkie dni tygodnia. I tak: godziny wstawania, inne dla pracujących a inne dla uczących się. To samo dotyczyło pacierza. Pracujące odmawiały go indywidualnie, młodsze zaś, chodzące do szkół, odmawiały poranne modlitwy zbiorowo. Przed pacierzem i śniadaniem wszystkie zabierały się do pracy. Ponieważ dziewcząt było dużo, a prace porządkowe systematycznie rozłożone na grupy czynności poranne, łącznie z przygotowaniem kanapek na drugie śniadanie, trwały dosłownie 15–20 minut. W sobotę natomiast, która była dniem wolnym od pracy, dziewczęta robiły bardziej szczegółowe porządki. W sobotę był również czas na reperację własnej odzieży i przygotowanie jej do prania. Pranie odbywało się w poniedziałek, po powrocie z zajęć. Należy podkreślić, że dziewczęta dbały o siebie same, a starsze pomagały młodszym (nawet im szyły sukienki).

Regulamin przewidywał również czas na rozrywki. Trzy razy w tygodniu, mianowicie w środy, piątki i soboty, wolno było wyjść z domu, pójść do kina, do znajomych lub na spacer. W dwa dni tygodnia (środy i soboty) dom był zamykany późno (pół godziny po północy), w inne dni tygodnia oraz w niedziele – o godzinie 22.00.

Dziewczęta same zdecydowały, że niedziela jest wyłącznie dniem odpoczynku i w niedzielny wieczór trzeba iść wcześniej spać, bo od poniedziałku znowu czekała praca.

Muszę tu podkreślić, że starsze dziewczęta były już dorosłe, ukończyły bowiem 15 lat (co w Nowej Zelandii jest uważane za pełnoletniość), a niektóre miały nawet po 18 lat i mogły dysponować swoim czasem jak chciały. Mogły więc przebywać w towarzystwie rówieśników – chłopców. Był tylko ten warunek, że każdy ze znajomych musiał być mi przedstawiony i jeśli gdzieś razem z dziewczyną wychodził, powinien po nią do nas przyjść i po skończonej zabawie czy spacerze – odprowadzić do domu, przed zamknięciem drzwi na noc. Przez cały czas naszej pracy w tym domu, to jest przez jedenaście lat nie zdarzyło się, aby te przepisy były w jaskrawy sposób przekroczone.

Tu muszę też dodać, że starsze dziewczęta samorzutnie podjęły się opieki nad młodszymi; chodziły z nimi na dziecięce zabawy lub do kina i troskliwie im towarzyszyły, rezygnując nieraz z własnej przyjemności. Takie stosunki wzajemne starszych z młodszymi miały wybitny walor wychowawczy.

Wydawać by się mogło, że dzięki wydatnej pomocy dziewcząt, my, to jest siostry, miałyśmy mniej pracy. Tak nie było. Pozostawała nam cała dziedzina organizacyjna, zaopatrzeniowa, administracyjna i rachunkowość. Wreszcie działania wychowawcze i nieustanna troska o to, aby w tak liczny zespół dziewcząt o dużej rozpiętości wieku, panowała atmosfera oparta na najszerzej pojętym zaufaniu i przyjaźni.

Siostry więc również miały pełne ręce pracy. Siostra Imelda prowadziła śpiewy w kaplicy i zajmowała się kuchnią, a nie było rzeczą łatwą przygotowanie codziennych posiłków dla blisko 100 osób.

Siostra Bernarda była obdarzona ogromnym zmysłem organizacyjnym. Umiała zawsze wynaleźć sposób na uproszczenie i ułatwienie każdej pracy. Sprawowała opiekę nad biblioteką, aparatami radiowymi, maszynami do szycia... Stworzyła taki system pracy, że o całość i dobry stan wszelkich urządzeń i przedmiotów musiały dbać same dziewczęta. Na przykład częste tłuczenie naczyń stołowych przy wspólnym ich zmywaniu ograniczyła w ten sposób, że każda z wychowanek miała kompletne nakrycie, przeznaczone tylko dla siebie i oznaczone przez siostrę kolejnym numerem. Każda z dziewcząt zmywała tylko swoje nakrycie i umieszczała je w przegródce pod właściwym numerem. Wprowadzenie tego systemu kosztowało siostrę Bernardę wiele trudu, ale liczba stłuczonych naczyń spadła do minimum.

Siostra Marcina miała dar kontaktu z dziećmi. Umiała je sobie zjednać – wszystkie przepadały za nią i słuchały każdego jej polecenia. Bardzo wiele czasu poświęcała na zajęcia i zabawy z nimi.

Siostra Augustyna zajmowała się porządkami w całym domu i pracą w klauzurowym ogródku, a od czasu do czasu zamieniała się zajęciami z siostrą Imeldą.

Moja praca polegała na tym, że oprócz nadzoru nad całością, miałam jeszcze wiele pracy z prowadzeniem rachunkowości. Nie było to proste. Dziewczęta już pracujące miały swoje własne fundusze. Zarobki wypłacano w Nowej Zelandii co tydzień, pracownikom umysłowym – co dwa tygodnie. Trzeba więc było prowadzić indywidualne konta dla każdej dziewczynki: część zarobionych pieniędzy musiała wpłacać na pokrycie kosztów pobytu w bursie, część należało odprowadzić do banku jako indywidualne oszczędności. Resztę brakującą do kosztów utrzymania, jak już wspomniałam, dopłacał rząd.

Pewną część zarobków każda pracująca dziewczynka miała dla siebie. Inne znów były rozliczenia dziewcząt uczących się. Była to, ogólnie rzecz biorąc, dość skomplikowana i pracochłonna buchalteria.

Osobną pozycją były rozliczenia z zakupów, dokonywanych na konto rządu. Wszystkie zakupy, czy to materiałów na ubrania, obuwia, czy przyborów szkolnych odbywały się w ten sposób, że w odpowiednim sklepie wybierałam wszystkie potrzebne rzeczy, sporządzałam ich listę i ten spis, opatrzony moim podpisem, pozostawał w sklepie. Rząd uiszczal należność.

Zdumiewające było to zaufanie i wiara w uczciwość ludzką. Pamiętam, że kiedy byłam chora, wysłałam po zakupy jedną ze znajomych pań, Polkę, panią Surynt. Miała ona tylko wybrać potrzebne rzeczy i odłożyć, zaś odebranie ich miało nastąpić wtedy, gdy już osobiście będę mogła podpisać to wyszczególnienie. Tymczasem w sklepie postawiono sprawę tak, że skoro pani Surynt jest moją zastępczynią, to i jej podpis będzie honorowanym na równi z moim. W związku z tym wydano jej z całym zaufaniem dużą ilość bielizny dziecięcej i przywieziono do domu.

W podobny sposób były prowadzone zakupy żywności. Przywożono ją według zapotrzebowania (z wyjątkiem produktów mniej trwałych) raz na dwa-trzy miesiące i umieszczano w magazynie bursy. I w tym wypadku robiłam listę tych artykułów w dwóch egzemplarzach: jeden zabierał dostawca, drugi zatrzymywałam u siebie, z tym, że co pewien czas musiałam te kwity przedstawiać do uzgodnienia. Koszty ich również pokrywały władze rządowe.

Oprócz tego prowadziłam w bursie pracę wychowawczą. Często miałam pogadanki z dziewczętami (w oddzielnych grupach), a w niedziele – zebrania z pracującymi, na których omawialiśmy różne problemy i sprawy, dotyczące naszej małej społeczności. Nie da się oczywiście ująć w określoną ilość czasu innych, rozlicznych wydarzeń, które wymagały naszej obecności i zaangażowania.

Na przykład taki „drobiazg”. Pewnego dnia przyjechała nasza pani doktor i zostawiła przed domem otwarty samochód z niewyłączonym silnikiem. Podczas rozmowy nagle usłyszałyśmy klakson samochodu. Co się okazało? Oto pięcioro malców, dziewczęta i chłopcy, kręciło się koło samochodu, manipulując zawzięcie wszystkim, czym się dało, i naciskając przy tym co chwila klakson... Strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby samochód ruszył z górki, na której był postawiony! Wprawdzie mali winowajcy, zaprowadzeni do mojego pokoju, sami zażądali przykładowej kary, ale... nie skorzystałam z tego. Trzeba było jakoś inaczej przemówić im do rozsądku.

Oto drobny przykład, jak stale należało mieć oczy i uszy otwarte, ile to kosztowało wysiłku i czasu. Przyznać jednak muszę, że, z nielicznymi wyjątkami, wychowanki nasze były zdyscyplinowane, pełne dobrej woli, a przywiązanie ich do nas, które zastępowałyśmy im rodzinę, ułatwiało porozumienie. Nie zdarzyło mi się natrafić na zdecydowany opór czy na złą wolę, choć – oczywiście – zdarzały się wybryki, ale nigdy nie miały one charakteru „robienia na złość”. Przeciwnie, wystarczyła nieraz jedna rozmowa, aby wyjaśnić, na czym polegało wykroczenie i dlaczego należy go unikać.

A oto inny przykład. Jedna ze starszych dziewczynek, wracając z miasta, miała zwyczaj zwlekać z wejściem do domu do ostatniej chwili. Wraz z odprowadzającym ją chłopcem spacerowała w pobliżu i dopiero wtedy wpadała szybko do domu, kiedy pogasły wszystkie światła – niezawodny znak, że dom się zamyka. Chcąc to ukrócić, poszłam, zaraz po zamknięciu domu, do pokoju, w którym mieszkała.. Znalazłam ją już w łóżku. Na moje zapytanie, dlaczego tako późno powróciła, odpowiedziała mi:

– O, proszę siostry, ja już dawno leżę w łóżku.

W tym momencie nic by nie dała dalsza rozmowa na ten temat, zczekałam więc do następnego dnia. Tuż przed zamknięciem domu siadłam na łóżku spóźnialskiej. Gdy ostatnie lampy zostały zgaszone, zjawiała się moja „zabłąkana owieczka”. Jakie było jej zdumienie i wstyd, gdy mnie u siebie zastała!

– No, jak tam, Teresko, czy dawno już leżysz w łóżku? – zapytałam.

Nie potrzebowałam nic więcej dodawać. Od tej pory Tereska wracała do domu o właściwej porze.

Mogłabym mnożyć te przykłady bez końca.

W pracy pomagały nam również osoby świeckie. Wspomniałam już o pani Fleming, która dopomagała w bursie dla chłopców. Tutaj miałyśmy bardzo nam oddaną panią Sawicką. Podjęła się ona pilnowania higieny. Oprócz ogólnego nadzoru w tej dziedzinie, regularnie myła głowy młodszym dzieciom.

Bardzo czynna i pomocna była pani Jadwiga Michalikowa. Uczyła języka polskiego w szkole nowozelandzkiej, a mieszkała u nas. Duża ilość zajęć szkolnych, przygotowywanie się do nich oraz pilnowanie naszych dziewczynek przy odrabianiu przez nie zadań, nie przeszkodziło jej w podjęciu trudnej i męczącej pracy w naszym domu, a mianowicie, przygotowywała wszelkiego rodzaju imprezy artystyczne, których było bardzo dużo. Był to ważny dział pracy wychowawczej. Poza tym bowiem, że dziewczęta poznawały odtwarzane przez siebie utwory, uczyły się i wyrabiały w sobie wiele artystycznych umiejętności, jak: dykcja, deklamacja, śpiew, taniec, co jest bardzo ważną dziedziną każdego procesu wychowawczego i pomocą w kształtowaniu umysłu i charakteru człowieka.

Dziewczęta były bardzo zajęte tymi imprezami, wszystkie kostiumy i rekwizyty musiały sporządzić same, a czasem jeszcze i dla młodszych, jeśli te brały udział w przedstawieniu. Miało to jeszcze jedną dobrą stronę – nie było czasu na nudę, a konieczność ciągłej współpracy wyrabiała solidarność i uspołecznienie.

Cztery lata pomagała nam w tym młoda nasza siostra, Paula Goldman. Przybyła ona z Polski, gdzie cała jej rodzina została wymordowana przez Niemców. Przyjechała specjalnie do naszego domu i tu zamieszkała. Bardzo zdolna i utalentowana, dawała sobie doskonale radę, czego dowodem było wyreżyserowanie i inscenizacja tak trudnej sztuki jak *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego. Siostra Goldman była u nas do maja 1954 roku.

Każde święta, rocznice, obchody, imieniny dostarczały pretekstu do artystycznych występów. Były więc bardzo udane Jasełka, w których brali udział chłopcy z męskiej bursy na *Island Bay*. Były obchody uroczystości narodowych, przedstawienia taneczne, deklamacje i śpiewy. Wszystkie one stały na wysokim poziomie, tym bardziej, że nieraz dekoracje były dziełem fachowców. Jednym z nich był

malarz, pan Kazimierz Ortyl. Przygotował dekoracje do Jasełek. Na tym przedstawieniu byli obecni również Nowozelandczycy. Pierwszy raz w życiu widzieli podobny spektakl i byli nim zachwyceni.

W dniu 3 maja zazwyczaj uroczyste było obchodzone święto Królowej Korony Polskiej, a także pamiątka Konstytucji 3 Maja. Szkoły nowozelandzkie uznały to święto jako narodowe święto Polski i w tym dniu dzieci nasze były wolne od zajęć. Treścią wieczornej akademii były obrazy tematycznie związane z tym świętem, ale jednego roku były one specjalnie udane. Przedstawiały mianowicie *Podróż po Polsce*. Występowały więc wszystkie regiony Polski ze swoimi charakterystycznymi strojami, tańcami i śpiewami. Kosztowało to wiele trudu. Niezależnie od wielkiej ilości różnorodnych kostiumów, które trzeba było wiernie odtworzyć, dużo było trudności z częścią wokalną. Żadnych nut nie mieliśmy, wszystkie melodie trzeba było sobie przypominać i uczyć ich „ze słuchu”.

Wkrótce potem, bo w lipcu 1951, otrzymaliśmy piękny, nowy fortepian. W 1950 roku urządzono w *St. Frances Hall* koncert, w którym nasze dziewczęta też brały udział. Dochód z koncertu – około 70 funtów – został przeznaczony na kupno fortepianu dla naszej bursy. Było to wielkie wydarzenie w naszym życiu – czekałyśmy na niego cały rok. Stał się wielką pomocą przy ćwiczeniu różnych imprez i służył do nauki muzyki. I znowu władze rządowe zgodziły się pokrywać dziewczętom koszty tej nauki.

Jakoś mniej więcej w tym samym czasie spotkała nas jeszcze jedna niespodzianka. Oto ksiądz Plater, który był duszpasterzem w miejsce księdza Wileniewczyca, otrzymał z Ameryki dar w kwocie około tysiąca dolarów. Suma ta, uzyskana ze składek, przeznaczona była przez ofiarodawców na indywidualne prezenty dla naszych wychowanek. Ponieważ dziewczętom na niczym nie zbywało, postanowiono więc za te pieniądze sprawić dla każdej kompletny strój krakowski. Były z tego bardzo rade, jakkolwiek szycie kostiumów, a zwłaszcza gorsetów, nastęczało im wiele trudności i trwało blisko dwa lata!

Uroczyste obchodzono również dzień św. Urszuli, patronki zakonnej naszej Matuchny. Nastrój tego dnia był zawsze poważny, przesycony wzruszającą atmosferą miłości i czci dla tej, która była inspiratorką i duszą wszystkich naszych poczyniń.

Opisane wyżej zajęcia i zabawy, to tylko mała częśćka wszystkich tych wydarzeń, jakie składały się na codzienne, systematyczne, a jednak bardzo urozmaicone życie.

Dużą rolę w tym życiu odgrywał również sport. W ogrodzie były korty tenisowe oraz boiska do siatkówki i koszykówki. Zwłaszcza ta ostatnia dyscyplina stała na wysokim poziomie. Drużyna koszykówki nazywała się *Białe Orły (White Eagles)*. Grała tak dobrze, że w 1951 roku zdobyła puchar w rozgrywce z dotychczasowymi mistrzyniami – drużyną ze szkoły *St. Mary's* w Wellingtonie, która była bardzo mocna w koszykówce.

Z upływem lat starsze dziewczęta opuszczały dom, najczęściej z powodu zawarcia związku małżeńskiego. W czasie trwania bursy zawiązało się około dwustu małżeństw, bądź to pomiędzy Polakami, bądź też mieszanych. (W owym czasie małżeństwa te miały już około 300 dzieci!)

Nowozelandczycy bardzo chętnie szukali sobie towarzyszek życia wśród naszych dziewcząt. Nic dziwnego. Były one dobrymi kandydatkami na żony. Wychowane w duchu religijnym, w atmosferze spokoju i zażyłości, miały także pewne wykształcenie, zawód, a czasem studia wyższe.

W Nowej Zelandii kobiety cieszą się dużym szacunkiem. Wynikało to zapewne z kultury tego narodu, ale może przede wszystkim dlatego, że w tym słabo zaludnionym kraju, mniej więcej wielkości Polski, było wówczas około 1 700 000 mieszkańców, w tym o wiele mniej kobiet niż mężczyzn. Trzeba więc było o nie zabiegać!

Szacunek dla kobiet wyraża się na przykład w tym, że jeśli na ulicy kobieta spojrzy na przechodzącego mężczyznę – ten obowiązany jest się jej ukłonić, mimo, iż nie jest jego znajomą. Także w sprawach dotyczących wzajemnych upodobań i przyjaźni, prowadzących nieraz do małżeństwa – to dziewczyna jest stroną, która deklaruje swoje stanowisko w tej sprawie, a nie chłopiec. On może jej towarzyszyć, może ją adorować, ale decyzja w sprawie związku małżeńskiego należy do kobiety.

Dbaliśmy oczywiście o to, aby w związkach mieszanych partner był również katolikiem. Tak też najczęściej bywało. Wpływ kobiet na życie rodzinne był tak silny, że często zdarzały się wypadki całkowitego „spolonizowania” się nowozelandzkiego małżonka a także dzieci były wychowywane po polsku.

Zdarzało się dość często, że małżeństwa były zawierane jako rezultat dłuższej korespondencji między młodymi. Było to dość ryzykowne, wszak listy nie zawsze odzwierciedlają całkowitą prawdę o człowieku. Ale tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że tylko mała liczba dziewcząt trafiła na nieodpo-

wiednich partnerów. Śluby odbywały się w kościele katolickim, a przyjęcia weselne urządzałyśmy w sali parafialnej przy kościele, nie w bursie.

W następstwie tych licznych, co roku zdarzających się kilkunastu ślubów, bursa powoli pustoszała i siłą rzeczy musiała zmienić swoje początkowe przeznaczenie. Dorosłe, pracujące dziewczęta zakładały własne domy, wiele zaś, po ukończeniu szkoły średniej, wyjechało na wyższe studia.

Zdarzało się również, że dziewczęta wyjeżdżały do rodziny: do odnalezionego ojca lub matki albo do rodzeństwa. Wiele z nich w ten sposób znalazło się w Ameryce, a nawet w Afryce. Wszystkie, z którymi miałam kontakt już po opuszczeniu przez nie domu „Ngaroma” (taką nazwę miał dom dla dziewcząt) twierdziły, że nigdzie nie było im tak dobrze, jak z nami w bursie. I myślę, że to była prawda.

Tak więc już około 1952 roku zaczęłyśmy przyjmować do bursy dzieci innych narodowości. Przybywały dzieci irlandzkie, nowozelandzkie, włoskie, jugosłowiańskie, węgierskie, a także tubylcze, maoryskie. Miałyśmy też wśród dzieci jedną małą Rosjankę – Marysię Litwinow. Jej pracująca matka prosiła, abyśmy małą przyjęły, gdyż nie miała absolutnie możliwości zająć się jej wychowaniem.

Dzieci tych narodowości wszystkie nauczyły się mówić po polsku, a jedno z nich, właśnie Marysia Litwinow, przeszła na katolicyzm.

Mimo, iż przeznaczenie bursy się zmieniało, nie zmieniał się duch panujący w niej, ani też system wychowawczy. Przybywało tylko pracy, bo tak duże zróżnicowanie dzieci – pod względem wieku i narodowości – zmuszało do bardziej wzmoczonej pracy wychowawczej. Wydawało się, że pomoc jest konieczna. Trochę więc z tego powodu, a także z powodu mojej dłuższej choroby, skontaktowałam się z matką generalną, Brygidą Rodziewicz, która przebywała w Pniewach. Matka Rodziewicz nawiązała korespondencję z osobiście jej znaną moją siostrą, Jadwigą Alexandrowicz, która mieszkała u rodziny w Montrealu w Kanadzie. Siostra moja, nauczycielka z zawodu, bardzo chętnie zgodziła się na przyjazd do mnie. Przybyła do Wellingtonu w styczniu 1955 roku i przebywała w naszym domu przez ponad trzy lata. Przez ten czas bardzo się żyła z domem i całkowicie zaangażowała się w pracę. Wiele nam pomogła, między innymi objęła wszystkie wieczorne dyżury w bursie, które były bardzo nużące, zwłaszcza w te dni, kiedy bursa była otwarta do późnych godzin nocnych. Poza innymi zajęciami, założyła i prowadziła koło literackie, do którego należeli również chłopcy.

W maju 1955 roku przypadło dziesięciolecie naszego pobytu w Nowej Zelandii. Należało więc tę rocznicę jakoś upamiętnić. Plany były rozmaite, przygotowania trwały długo, aż w końcu nadszedł oczekiwany dzień. Pragnęłyśmy, aby wypadł on uroczystość, ale rzeczywistość przeszła nasze oczekiwania. Dziesiąta rocznica stała się manifestacją serdeczności i życzliwości władz i społeczeństwa, a także przywiązania do domu naszych byłych wychowanek.

Zjazd trwał trzy dni. Na uroczystej akademii, z ramienia rządu był obecny minister Corbett, a z władz kościelnych – nasz przyjaciel ksiądz John Kavanagh (który wówczas był już biskupem). W zastępstwie biskupa Wellingtonu, księdza Petera McKeefry, przybył wikariusz generalny, ksiądz prał. Arthur McRae. Był oczywiście także nasz duszpasterz – rektor Polskiej Misji katolickiej w Wellingtonie, ksiądz dr Leon Plater. Oficjalną część uroczystości wypełniły przemówienia. Wszystkie bardzo serdeczne i bezpośrednie. Przemawiał minister Corbett, ks. prał. McRae, ks. rektor Plater. Mówiła też – w imieniu wychowanek bursy – studentka, Stefcia Manterys.

Oprócz przedstawicieli władz uczestniczyło w tej uroczystości wielu mieszkańców Wellingtonu – Polaków i Nowozelandczyków. Zjechało też się na nią, z najodleglejszych stron, wiele naszych wychowanek z mężami i dziećmi. Nastrój, od początku podniosły i serdeczny, podniósł się jeszcze bardziej w czasie wyświetlania filmu, o którym już wspomniałam. Film, dokumentujący moment naszego przybycia na wyspę, przedstawiał w wymowny sposób tragiczną tułaczkę naszej gromadki. Widać było na nim małe, wynędzniałe dzieci w ramionach żołnierzy, schodzących ze statku na ląd, widać było starsze dzieci – chude, zabiedzone, wybiegające z radosnym krzykiem na tę nieznaną ziemię, widać było sceny powitania, wiwaty na cześć Polski, wiązanek kwiatów rzucane nam zewsząd. Wielu obecnych na sali, dorosłych, wspaniale wyrosniętych mężczyzn i pięknych kobiet, rozpoznawało w tej gromadce samych siebie – zrozumiało więc było ich spontaniczne i szczere wzruszenie. Wielu nie wstydziło się łez... Do głębi wzruszona była też publiczność na sali. A my byłyśmy szczęśliwe i dumne, że Bóg pozwolił nam dożyć tej chwili.

Jak zwykle, po uroczystej akademii nastąpiła część artystyczna, na którą złożyły się deklamacje, śpiew, tańce narodowe, przyjmowane huraganem oklasków. Tłumy naszych sympatyków okazywały nam serdeczność i wdzięczność. Dzieci rzucały pęki kwiatów na rozentuzjasmowaną publiczność.

Zabawne i wzruszające zarazem było zachowanie się naszych byłych wychowanek: biegały po całym domu tak, jak w dzieciennych latach, odnajdywały dawne sypialnie, „swoje” łóżka – prowadząc wszędzie i pokazując wszystko swoim mężom i małym pociechom. Ileż radości, ile śmiechu i nieoczekiwanych wzruszeń towarzyszyło tej naprawdę rodzinnej uroczystości! Opis jej trafił nawet do miejscowych gazet, dowód, że nasze dziesięcioletnie święto znalazło oddźwięk w całym społeczeństwie.

I znów rozpoczęła się normalna nasza praca w bursie. Było już w niej tylko kilkanaście Polek (pracujących) i niewiele więcej dziewcząt w wieku szkolnym. A mimo to zakres tej naszej pracy ciągle się poszerzał. Przede wszystkim dlatego, że przy małych dzieciach, a zwłaszcza różnych narodowości (napływ ich był bardzo liczny) było dużo więcej pracy. Poza tym liczbę małych dzieci powiększały nasze tzw. „wnuki”, to jest dzieci byłych wychowanek. Dzieci te przyjeżdżały na długie wakacje zwiększając liczbę naszych stałych mieszkank.

Zakres pracy zarówno pedagogicznej, jak i administracyjno-gospodarczej stale się poszerzał i z trudem tylko mogłyśmy jej poddać. Potrzebowałyśmy gwałtownie pomocy, przyjazdu kilku lub przynajmniej jednej siostry. W tej sytuacji postanowiłam porozumieć się z siostrami w Rzymie. Z naszymi władzami zakonnymi w Polsce trudno było wówczas się skomunikować – korespondencja była utrudniona i długotrwała. Koniecznością stała się moja podróż do Rzymu. Ustaliliśmy, że przez ten czas zastąpi mnie w bursie moja siostra Jadwiga.

Wyruszyłam w podróż 13 lutego 1956 roku. Z Wellingtonu wyjechałam pociągiem do Aucklandu¹, a stamtąd – już samolotem. Pierwszym etapem było Sydney² w Australii, które zwiedziłam samochodem w towarzystwie spotkanych tam znajomych i byłej wychowanki. Wieczorem odleciałam do Perth³. Lecieliśmy siedem godzin nocą, spod silników buchały ogromne płomienie... Było to przerażające!

Dalsza marszruta prowadziła do Singapuru⁴. Po sześciu godzinach lotu zatrzymaliśmy się na półto-rej godziny w Djakarcie⁵. Tam przeżyliśmy niemiłe chwile: brudna poczekalnia, długotrwała rewizja dokumentów, po czym zamknięto nas w czymś, co przypominało kojec z desek. Przez szpary w deskach obserwowałam tamtejszą ludność: żołnierzy – raczej chude szkielety w hełmach, z karabinami; tubylców – mieszaninę typów mongolskich z hinduskimi, a wszędzie skrajna nędza, choć nie brak również kobiet w hinduskich strojach z kolczykami w nosie i pierścieniami na palcach, z czerwoną plamką na czole, która jest znakiem przynależności do księżęcego rodu.

Z góry, z okien samolotu, Indonezja wygląda bardzo malowniczo. Mimo to z ulgą opuszczaliśmy ją, wsiadając do samolotu, który miał nas przenieść na Malaje, do Singapuru (z góry było widać tylko lasy palmowe i sosnowe). Teraz, w drodze z lotniska, widziałam egzotyczne domy i domki, bardzo przewiewne, niektóre zamiast okien miały szerokie szpary w ścianach (domy te budowane są z desek). W mieście ażurowe kamieniczki, na ulicach rojno, wiele rowerów z przyczepami z tyłu – jadą w nich kobiety tubylcze lub Europejki.

W hotelu, gdzie spędziłam noc, miałam *locum* składające się z pokoju i sypialni, chłodzone wentylatorami, których śmigła kręciły się pod sufitem. Prócz tego – dwie łazienki. Komfort.

Wieczór do późna spędziłam na balkonie, obserwując egzotyczny wygląd tego miasta. Spałam pod flanelowym prześcieradłem... Rankiem po śniadaniu, dalsza podróż. W drodze na lotnisko znów inne widoki: domy biedne, budynki gospodarcze również. Ludzie robią wrażenie wynędzniałych. Pracują w ogródkach. Wodę noszą na nosidłach. Przykry to widok... Lecimy teraz na Cejlon, do Kolombo⁶. Podróż nieprzyjemna, upał, wiele osób choruje. Lecimy na wysokości 18 500 metrów. Po przylocie i dość trudnym lądowaniu jesteśmy nareszcie na miejscu. I znów obserwuję i otrzymuję nową porcję egzotyki. Ludzie opaleni na brąz, mężczyźni najczęściej tylko w opaskach, krótkich spodenkach, czasem w spódnicach. Kobiety w kolorowych sari, najczęściej fioletowych i pomarańczowych, włosy gładko zaczesane, upięte w węzeł na karku. Dużo dzieci: te ze szkół katolickich w mundurkach, inne – nagie. Obiad jemy w hotelu w mieście. Pogoda piękna, widok z olbrzymich okien wprost na olśniewająco szafirowy ocean. Kruk wpadł przez okno i pozabierał z talerzy resztki jedzenia... Ulice brudne,

¹ Auckland, miasto na Wyspie Północnej, największy ośrodek przemysłowy i główny port Nowej Zelandii.

² Sydney, największe miasto i port w Australii, stolica stanu Nowa Południowa Walia; największe również skupisko Polonii australijskiej.

³ Perth, miasto w Australii w pobliżu ujścia rzeki Swan do Oceanu Indyjskiego.

⁴ Singapur, stolica Singapuru; największy port i główny ośrodek handlowy Azji południowo-wschodniej.

⁵ Djakarta (do 1949 Batavia) stolica i największe miasto Indonezji na wybrzeżu Morza Jawajskiego.

⁶ Kolombo, stolica i główny port Cejlonu (Sri Lanki), w południowej Azji.

niebrukowane, pełno na nich cuchnących odpadków, wyrzucanych na ziemię, brązową jak czekolada. Dużo riks. Robią na mnie przykre wrażenie. Widzę też pojazdy zaprzężone w woły.

Jeszcze tego samego dnia odlatujemy z Cejlonu do Bombaju. Tutaj krótki postój i dalszy lot do Karaczi⁷, gdzie jesteśmy już wieczorem. Wraz z moją towarzyszką, Angielką, odpoczywamy w hotelu, ale nie kładziemy się do łóżek, bo hotel bardzo brudny. W restauracji czyściej. Grupa naszych towarzyszy podróży zaśmiewa się z czegoś, więc i my tam idziemy. Okazuje się, że to magik pokazuje sztuczki! Znow oglądam inne stroje: pasiaste, czarno-żółte turbany, takie same pasy owinięte wokół bioder, długie spodnie i bluzy ze srebrnymi guzami.

Jeszcze nocą wylatujemy z Karaczi do Kairu⁸ – bardzo długa i męcząca podróż! Kiedy znalazłam się już na ziemi, byłam zupełnie ogłuszona. W Kairze postój trwał dość długo. Potem, niewiele odpoczywając, wyruszyliśmy do Rzymu.

Nareszcie 18 lutego, o godzinie 10, znaleźliśmy się w Rzymie. Lądowanie było bardzo trudne z powodu zachmurzenia i śniegu na ziemi... Na lotnisku oczekiwały na mnie trzy nasze siostry. Pierwszy etap podróży zakończony: stanęłam u celu.

Przebywałam w Rzymie dość długo, bo aż do 4 kwietnia 1956. Najpierw oczywiście załatwiłam sprawy zgromadzeniowe. Przedyskutowana została kwestia, czy nasza bursa w Wellingtonie ma nadal pozostać czynna jako azyl dla wszystkich potrzebujących (oczywiście ze szczególnym uwzględnieniem dzieci polskich), czy też należy ją zlikwidować. Kwestia ta została rozstrzygnięta w ten sposób, że zasadniczo bursa miała pozostać jako placówka urszulańska w Nowej Zelandii. Warunkiem jednak jej dalszej egzystencji było przysłanie do Wellingtonu świeżych sił, to jest jednej lub kilku sióstr.

W ten sposób załatwiłam moją główną misję, a później udałam się w wędrowkę po Włoszech, zwiedzając nasze domy zakonne. Będąc już niedaleko Francji, wybrałam się i tam pociągiem, aby odwiedzić nasze domy i siostry. Była to piękna wędrowka, trwała od 5 do 22 kwietnia.

Odwiedziłam siostry w Virieu-sur-Bourbre, w Grenoble, w Ucel i w Origny, zobaczyłam też Lyon... Kalejdoskop wrażeń, niezapomnianych po dzień dzisiejszy. 26 kwietnia 1956 powróciłam do Rzymu, skąd zrobiłam wycieczkę na Monte Cassino, do domu naszego w Olivelli pod Monte Cassino oraz ponownie do Scauri (które odwiedziłam już podczas pierwszego pobytu w Rzymie). Potem podróż powrotna.

Nie wracałam jednak tą samą trasą, ponieważ siostry z Włoch prosiły mnie, abym wracając jechała przez Amerykę. Chodziło o to, że otrzymały one propozycję przyjazdu do Chicago i podjęcia tam pracy w polskim seminarium duchownym w Illinois⁹. Miałam się na miejscu zorientować co do warunków i rodzaju pracy.

Z radością przyjąłam tę propozycję. Cieszyłam się przede wszystkim z tego, że przysłużę się siostrze, oraz że będę miała możliwość być w Montrealu, gdzie chciałam odwiedzić dawno nie widzianą moją rodzinę: matkę i rodzeństwo.

Tak to, niespodziewanie, podróż moja zamieniła się w „podróż dookoła świata”. Oto jej trasa: 24 maja 1956 roku wyjechałam z Rzymu do Paryża. Na dworcu spotkałam s. Monikę Żółtowską i spędziłam z nią cały dzień w stolicy Francji. W nocy, już w Hawrze¹⁰, wsiadłam na statek *Scytwia-Canard Line*. Na samym wstępie spotkała mnie dość zabawna przygoda, której skutki okazały się dość nieprzyjemne. Oto, przez pomyłkę, zapisano mnie na liście pasażerów jako księdza. Na skutek tego otrzymałam na statku miejsce w czteroosobowej męskiej kabinie. Dopiero po rozmaitych perypetiach i tłumaczeniach zmieniono moje *locum*.

Dostałam kabinę dwuosobową, tylko dla siebie. Wieczorem odwiedziły mnie siostry misjonarki, które również płynęły tym statkiem i umówiliśmy się, że będą przychodziły do mnie codziennie po południu i wieczorem na godzinę.

W nocy mijamy, wyraźnie widoczną, Anglię i Irlandię. W ciągu dalszych kilku dni Ocean Atlantycki daje się nam porządnie we znaki. Niebo staje się pochmurne, robi się coraz chłodniej, wietrznie. Wzmagająca się stale fala kołysze mocno statkiem. Wszyscy czują się źle; ja trzymam się, jak mogę. Mało osób schodzi na posiłki. Stoły zabezpiecza się wkoło listwami, aby nakrycia nie spadały na podłogę. Statek płynie wolno, czas cofnięto dopiero o godzinę...

⁷ Karaczi, największe miasto i port morski Pakistanu, do 1959 stolica Pakistanu.

⁸ Kair, stolica Egiptu i największe miasto Afryki, nad Nilem.

⁹ Illinois – prawdopodobnie mowa o stanie w środkowo-wschodniej części USA, którego głównym miastem jest Chicago.

¹⁰ Hawr (Le Havre), miasto we Francji nad Kanałem La Manche, u ujścia Sekwany.

Ale już jesteśmy w pobliżu ujścia rzeki Św. Wawrzyńca. To już Kanada! Nie zauważa się, że statek płynie po rzece – nie widać zupełnie brzegów a i fala tak wysoka jak na oceanie.

Zaczyna jednak robić się cicho, cieplej, pogoda się poprawia. 31 maja napotykamy wspaniały lodowiec – wygląda jak koronkowy, olśniewająco biały okręt. Podziwiamy go nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa (nie wiadomo, dokąd sięga podstawa lodowca zanurzona w wodzie i czy statek o nią nie zahaczy...). Udało się go jednak szczęśliwie ominąć, pozostał za nami jak zjawisko z bajki.

Jeszcze tylko dwa dni! Przez cały okres przeszło tygodniowej podróży czas mijał dość szybko: towarzystwo sióstr misjonarek, rozmowa z przygodnymi znajomymi na pokładzie, poza tym nauka języka angielskiego wypełniały mi dni. Wreszcie przybiliśmy do portu w Quebec¹¹. Wiele osób wysiadło. Zostałam jako ostatnia, bo dopiero nazajutrz rano miałam zejść na ląd. Spodziewałam się, że może mój brat przyjedzie po mnie samochodem z Montrealu, gdzie mieszkał! Podświadomie na niego czekałam i ta myśl nie pozwalała mi spać. Późno już było, gdy wyszłam na pokład – i istotnie, zobaczyłam go na brzegu, patrzył w górę, na statek. Bardzo się ucieszyłam. Rozmawiałam z nim dłuższą chwilę i wreszcie umówiliśmy się, że jutro, zaraz po opuszczeniu statku, spotkamy się.

W połowie nocy zbudziło mnie głośnie stukanie w ścianę... To policja. Chcieli się ze mną zobaczyć i koniecznie domagali się, aby ich wpuścić do kabiny. Chcieli robić rewizję, ale zupełnie nie mogłam zrozumieć z jakiego powodu? Ograniczyli się jednak tylko do pobieżnego obejrzenia dokumentów i zajrzenia do kabiny, gdzie niczego nie dostrzegli – prócz różańca, figurki Matki Bożej i fotografii naszej Matuchny.

Dopiero później połączyłam sobie wszystkie fakty, które mogły ściągnąć na mnie podejrzenie – na początku podróży figurowałam jako ksiądz, potem okazało się, że jestem zakonnica, miałam przez cały czas podróży dwuosobową kabinę dla siebie, wreszcie w nocy porozumiewałam się, po odejściu urzędników i pasażerów, z jakimś samotnym mężczyzną, czekającym na molo!...

Nazajutrz byłam już w Montrealu, w gronie rodziny, dokąd dojechałam autem mego brata. Pobyt mój tam trwał około trzech tygodni.

Potem wyruszyłam w drogę do Chicago przez Ottawę¹². Przybyłam tam 28 czerwca. Na lotnisku spotkałam oczekującego mnie księdza z jakimś klerykiem. Byliśmy wtedy bezpłatnymi gośćmi restauracji, urządzonej w stylu zakopiańskim, zaproszeni przez właściciela, pana Pustelnika, który był Polakiem.

Przebywałam w Chicago do 5 lipca. Załatwiłam w tym czasie przede wszystkim sprawę powierzoną mi przez siostry rzymskie, a resztę czasu poświęciłam na zwiedzanie różnych instytucji charytatywnych i szpitali oraz okolic miasta. Oglądałam placówki sióstr felicjanek, sierocińce, domy starców, punkty katechetyczne.

Siostry felicjanki miały wówczas 36 kandydatek. Wśród nich spotkałam pięć moich wychowanek z Persji. Jedną z nich, Marysia Skalka, była ze mną w stałym kontakcie przez dwa lata. Spędziłam z nimi w Chicago wiele miłych godzin.

Wreszcie opuściłam Chicago i przez San Francisco¹³, Honolulu¹⁴ dotarłam samolotem na wyspę Canton¹⁵. Jest ona właściwie wielką, białą rafą koralową. Ma tylko 200 mieszkańców, którzy stanowią obsługę znajdującego się tutaj portu lotniczego. Jest też szkoła dla 36 dzieci i małe szpital na 2 łóżka!

Opuszczamy tę niezwykłą wyspę po dwóch godzinach i odlatujemy na Fidżi¹⁶, potem na wyspę Nauru¹⁷. Jest dzień 7 lipca. Z Nauru, po przeszło godzinnym postoju, odlatujemy do Aucklandu. Tu jesteśmy o godzinie 3 rano. Okazuje się jednak, że nie przesunęliśmy czasu, i że jest już nie 8, ale 9 lipca!

W Aucklandzie przesiadamy się już do samolotu linii nowozelandzkich i bierzemy kurs na Wellington.

W tym ostatnim odcinku drogi towarzyszyła nam burza, wielkie kołysanie samolotu, przebijaliśmy się przez chmury, słowem, wiele emocji. Wreszcie jesteśmy na miejscu. Koło się zamknęło. Moja fascynująca podróż dookoła świata zakończyła się! Już z daleka na stacji autobusowej w Wellingtonie

¹¹ Quebec, miasto w Kanadzie, w prowincji Ontario i port nad rzeką św. Wawrzyńca.

¹² Ottawa, stolica Kanady, w prowincji Ontario, nad rzeką Ottawą.

¹³ San Francisco, miasto w USA (Kalifornia), nad Oceanem Spokojnym.

¹⁴ Honolulu, miasto w USA, stolica stanu Hawaje, na wyspie Oahu.

¹⁵ Canton, atol w grupie Feniks, baza lotnicza.

¹⁶ Fidżi, państwo Wspólnoty Narodów w Oceanii (Melanezja).

¹⁷ Nauru, republika w Oceanii (Mikronezja).

widzę znajome sylwetki czekających na mnie osób. Były nimi: moja siostra Jadwiga oraz panie Czochańskie.

Jako ciekawostkę dodam, że za tę tak długą trasę (a właściwie jej połowę), dostałam od agencji międzynarodowych linii lotniczych wspaniałą *Dyplom Neptuna*.

Po moim powrocie życie bursy potoczyło się normalnym trybem, tylko coraz bardziej zmieniał się skład osobowy mieszkanek. Nadal przybywały młodsze dzieci zarówno polskie, jak i innych narodowości, a odchodziły dorosłe dziewczęta, wychodzące za mąż.

Podczas mojej nieobecności naszą bursę odwiedził znany polski pianista, Witold Małcużyński z żoną. Był na wielkim *tournee* koncertowym, a dowiedziawszy się w Australii, że niedaleko, bo w Nowej Zelandii, znajduje się duży ośrodek polski, postanowił go odwiedzić. Było to bardzo miłe i uprzejme ze strony sławnego pianisty. Przebywał podobno kilka godzin w naszym domu, grał specjalnie dla nas, bo – jak twierdził – bardzo chętnie gra dla młodzieży, ponieważ ona lepiej niż dorośli czuje muzykę Chopina. Zwiedził cały dom i stwierdził, że z tak piękną i świetnie prowadzoną placówką polską spotkał się po raz pierwszy w swoich długich wędrówkach. W czasie wizyty zdarzyła się też zabawna historia. Oto najmłodsza z naszych wychowanek, maleńka Basia, natychmiast po zakończeniu koncertu przez artystę, zasiadła do fortepianu, i – naśladując gesty grającego – zaczęła z całym rozmachem walić rączkami w klawiaturę. Małcużyński, ubawiony, wziął małą na ręce i zawołał:

– O, to ty może będziesz mi robić konkurencję?!

Była to przemiła wizyta i żałowałam, że nie brałam w niej udziału.

W związku z tym nasunęło mi się jeszcze jedno wspomnienie. Dotyczy ono również wizyty w naszym domu sławnego człowieka, jakim był doktor Rytel. Gościł on u nas w 1955 roku.

Profesor Rytel wyjechał z Polski na zjazd lekarzy do Ameryki i tam zastała go wojna. Pozostał więc w USA. W roku 1955 przybył na międzynarodowy zjazd lekarzy, który odbywał się w Australii, a korzystając z bliskości Nowej Zelandii, przyjechał też na dwa dni do Wellingtonu i do naszej bursy. Wygłosił też odczyty u nas i w *Domu Polskim*. Był do tego stopnia oczarowany naszym domem, że rzucił nawet myśl, aby odkupić budynek od kurii, tak byśmy go mogły prowadzić na własną rękę, a o fundusze chciał się osobiście postarać w Ameryce. Był zdumiony, że nasze dzieci tak dobrze mówią po polsku. Powiedział, że w Stanach nauczycielki-Polki gorzej od nich władają językiem polskim.

Ta wizyta sławnego lekarza zostawiła nam wiele miłych wspomnień, toteż szczerze byłam uradowana, kiedy podczas swojej podróży spotkałam go w Chicago. Zaprosił mnie na obiad. Byłam z jedną z siostrzeli felicianek. Profesor okazał nam wiele gościnności i życzliwości, obwoząc samochodem po Chicago. Był też z nami w szpitalu, prowadzonym przez siostry. Zaskoczyło mnie jego powiedzenie przy pożegnaniu:

– Ach, siostrzo, jakie to smutne, że tu, w Ameryce, zakony oddają się w wielkiej mierze pracom przynoszącym dochód, ze szkodą dla właściwej im pracy charytatywnej i apostołskiej!

Takie to miłe, zaszczytne dla nas wizyty miewaliśmy w naszym domu. Były one dla nas zachętą do dalszych wysiłków, bo nasza praca stawała się coraz bardziej intensywna, choć zaangażowanie i zapał nie stygły. Przez dziesięć lat istnienia, bursa i dla nas stała się prawdziwym domem, czuliśmy się z nią związane tak samo, jak nasze dzieci. „Rodzina” nasza powiększała się stale przez zamążpójścia dziewcząt, a kontakty z nimi nie słabły, nawet z tymi, które mieszkały w odległych od Wellingtonu miejscach.

Czekaliśmy ciągle na odpowiedź matki generalnej w sprawie tak potrzebnej nam pomocy. Wreszcie nadszedł list, datowany 28 sierpnia 1957. Nie przynosił jednak upragnionej wieści. Przeciwnie, matka generalna w tym liście polecała nam powrót do kraju.

Zaczęłyśmy więc czynić przygotowania do powrotu. Trwało to dość długo, bo nasza bursa była dużym obiektem¹⁸. Trzeba było w pierwszym rzędzie pomyśleć o ulokowaniu gdzieś wszystkich dzieci. Starsze dziewczęta rozproszyły się i na własną rękę zamieszkały w prywatnych domach, małe dzieci obcych narodowości umieściliśmy w zakładzie nowozelandzkim, prowadzonym przez siostry, a dzieci polskie powróciły do własnych rodzin, były to bowiem dzieci naszych byłych wychowanek.

Był to bardzo ciężki i przykry okres. Tak bardzo byliśmy zrosnięte z tym domem, że nawet myśl o powrocie do kraju nas nie radowała. Przygotowania do wyjazdu wymagały wiele trudu i były tym cięższe, że wszystko, co robiłyśmy, napełniało nas smutkiem na myśl o bliskim rozstaniu. Jednak naj-

¹⁸ Dom stał się z czasem siedzibą Nuncjatury Apostołskiej. W roku 1986 mieszkał tam Jan Paweł II w czasie swej 32 pielgrzymki apostołskiej do Australii.

bardziej przykry był moment wywożenia z domu dzieci. Chwila, kiedy musiałyśmy je przeprowadzić do zupełnie obcego zakładu i pożegnać się z nimi – to był naprawdę moment rozdzierający.

Przedtem jednak nastąpiło uroczyste pożegnanie. Młodsze dzieci przygotowały piękne przedstawienie dla dzieci naszych wychowanków, tych właśnie „wnuków”. Po przedstawieniu odbyła się zabawa, w której brali udział wszyscy, nie tylko dzieci – bawili się też rodzice, którzy po nie przybyli; przecież jeszcze nie tak dawno te młode matki były naszymi wychowankami!

Uroczyste pożegnanie z reprezentantami władz i zrzeszeń odbyło się parę tygodni później. Po Mszy świętej, którą odprawił ks. rektor Leon Plater, zebraliśmy się wszyscy w sali parafialnej przy kościele św. Anny. Tutaj nastrój był raczej poważny, przesycony świadomością zbliżającego się rozstania. Zebranie wypełniły liczne przemówienia. Przemawiał przedstawiciel duchowieństwa katolickiego, delegat Związku Polaków, delegat Związku Byłych Kombatantów, mówił też przedstawiciel społeczeństwa nowozelandzkiego, mówiło kilku ojców naszych wychowanków. Było też wzruszające przemówienie jednego z małych dzieci. W imieniu wychowanków bursy przemawiała Stefcia Manterys. Ostatnie słowo było moim udziałem. Przygotowałam sobie przedtem, co i w jakiej kolejności mam powiedzieć. Byłam jednak tak przejęta i wzruszona, że zapomniałam wszystko i mówiłam to, co cisnęło się na usta z wezbranego serca.

Na zakończenie otrzymałyśmy piękny podarunek. Nasi wychowankowie podarowali nam aparat filmowy: nowoczesny, wspaniały aparat do wyświetlania filmów pełnometrażowych, dźwiękowych. Aparat ten przywieźliśmy do Polski¹⁹.

Tym pięknym pożegnaniem zakończyła się nasza praca w Nowej Zelandii. Zakończył się długi, owocny okres życia, który trwał 14 i pół roku. Był to okres niezapomniany, do którego nieraz we wspomnieniach powraca się z żalem, że minął.

¹⁹ Projektor filmowy firmy „Kodak” znajduje się w domu macierzystym w Pniewach.

7. POWRÓT DO KRAJU (1958)

Naszą podróż powrotną rozpoczęliśmy 13 marca 1958 roku. Wszystkie razem, cała nasza piątka, wsiadliśmy na statek nowozelandzki *Monoway*.

Spotkałyśmy tu, przypadkiem, byłego wychowanka, jeszcze z Persji. Staś Wołk, już dorosły mężczyzna, bardzo wiele nam pomógł. Był marynarzem na tym statku i kapitan przydzielił go nam, aby się nami opiekował. Staś dbał o wszystkie nasze potrzeby na okręcie, dostarczał nam potrzebne leki, przy chorobie przynosił posiłki do kabiny, przynosił także mnóstwo owoców. Na statku, przez cały czas podróży do Australii, otrzymywałyśmy wiele pożegnalnych depesz z życzeniami pomyślnej podróży. Po pięciu dniach przybyłyśmy do Sydney. Tu spotkałyśmy wiele naszych wychowanek, wśród nich Elżunię Zalewską, Marysię Pacanowską, Wikcię Tabisz; wszystkie już zamężne, przybyły ze swoimi mężami. Doznałyśmy od nich wiele serdeczności, a także pomocy – Elżunia wozila mnie samochodem do konsulatu, załatwiała formalności bagażowe i inne. W Melbourne²⁰ postój trwał dwa dni. Zwiedzałyśmy miasto i ośrodki polskich organizacji katolickich. Księża bardzo nas namawiali, abyśmy pozostały do współpracy.

Jednak płyniemy dalej. Przez Adelaide²¹ docieramy do Kolombo na Cejlonie. Tutaj zdążyłyśmy odwiedzić placówki misyjne sióstr irlandzkich, gdzie było 300 powołań tubylczych, a w placówce sióstr Świętej Rodziny nawet 400! Proboszczem był tam staruszek, Francuz, który miał do pomocy kilku wikarych, tubylców.

W dalszej drodze spotkała nas silna burza. Płynęłyśmy przez Aden²² do Port Saidu²³ – to już Suez²⁴ – Egipt. Podziwiam Kanał Sueski – długi 160 km, łączy Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym. Wbrew swojej nazwie, Morze Czerwone ma intensywnie zielony kolor: na wysokich szmaragdowych falach unoszą się białe grzywy piany.

Tak upłynął miesiąc naszej żeglugi. 18 kwietnia przybijamy do Włoch, do Neapolu. Podczas postoju zrobiliśmy wycieczkę do Scauri, które znałam z pierwszej mojej podróży do Rzymu.

W porcie spotkałyśmy się z kilkoma naszymi siostrami z Włoch, zaś w Marsylii, dokąd dotarłyśmy po dwóch dniach, spotkałyśmy siostrę Ledóchowską, s. Urszulę Łoś oraz s. Stanisławę Kosmowską, która w czasie naszego pobytu w Nowej Zelandii stale przysyłała mi polskie książki. Bardzo wiele jej zawdzięczam.

Tutaj w Marsylii pożegnałyśmy się z s. Bernardą Brennan, która pozostała we Francji, my zaś wyruszyłyśmy dalej. Przepląłyśmy Gibraltar²⁵. Środkiem cieśniny przebiega granica między Europą a Afryką. Stamtąd, już przez Southampton²⁶, docieramy do Londynu. Wreszcie po długim, bo siedem dni trwającym postoju, opuszczamy Anglię statkiem towarowym.

Do Gdyni docieramy w niedzielę, 4 maja 1958 roku, akurat w dzień odnawiania ślubów Jasnogórskich. Tu po raz pierwszy spotykam się z matką generalną, Franciszką Popiel. Ucieszyłam się też widokiem moich dwóch braci, mieszkających w Polsce, którzy również przyjechali do Gdyni, aby mnie powitać.

Następnego dnia o godzinie 1 w nocy przyjechałyśmy do Pniew.

*

* *

Tak zakończyła się moja wędrówka po dalekich krajach. Nie zerwała się jednak serdeczna więź z wychowanekami. Była ona tak silna, że kontakty, z tą już dziś dorosłą młodzieżą, nie ustały. Trwała stała

²⁰ Melbourne, miasto na południowym wybrzeżu Australii, stolica i główny port stanu Wiktoria.

²¹ Adelaide, miasto i port na południowym wybrzeżu Australii, stolica stanu Australia.

²² Aden, największe miasto Jemenu Południowego, ważny port i ośrodek handlowy.

²³ Port Said, miasto w północnej części Egiptu, ważny port nad Morzem Śródziemnym przy wejściu do Kanału Sueskiego.

²⁴ Suez, miasto w Egipcie, port nad Zatoką Sueską.

²⁵ Cieśnina Gibraltarska między Półwyspem Iberyjskim a Afryką, łącząca Ocean Atlantycki z Morzem Śródziemnym.

²⁶ Southampton, miasto w Anglii nad kanałem La Manche, główny port pasażerski Wielkiej Brytanii.

korrespondencja, często też nas odwiedzają w Polsce nasi byli wychowankowie, a ich dzieci pisują do mnie listy.

Wszystkie te wizyty są dla mnie zawsze radosnym przeżyciem. Pewnego razu odwiedził mnie w Milanówku ks. Bronisław Węgrzyn. Jako małe, 6-letnie dziecko, wyjechał z Rosji i wraz z nami przyjechał do Persji. Był dzieckiem chorym, lekarze nie robili nadziei na utrzymanie go przy życiu. Jednak omylili się. Mały Bronek pojechał z nami do Nowej Zelandii, gdzie chodził do przedszkola w Pahiatua. Pomimo, że od trzeciej klasy szkoły podstawowej przebywał w domach nowozelandzkich, zawsze uważał się za mojego wychowanka i bardzo był związany z naszym środowiskiem. Pięknie mówił po polsku i wszędzie manifestował swoją polskość.

W pierwszym roku nauki w małym seminarium wypadło mu wygłosić odczyt. Wybrał temat o Matce Boskiej Częstochowskiej, której obrazu nigdy nie widział. Prosił mnie, abym mu wszystko opowiedział. Odczyt był zakończony prośbą, aby koledzy z seminarium modlili się za Polskę.

Po ukończeniu seminarium pojechał na dalsze studia do Włoch. W jakiś czas potem przyjechał do Polski. Najpierw odwiedził mnie w Milanówku, potem razem pojechalśmy do Częstochowy. Zatrzymaliśmy się u sióstr, gdzie spotkaliśmy siostrę Imeldę, która pracowała tu w kuchni.

Oczywiście, przede wszystkim byliśmy na Jasnej Górze, gdzie ksiądz Bronisław odprawił Mszę świętą. Nareszcie znalazł się w roli kapłana przed tym Obrazem, który czcił już jako dziecko. Dopiero po wizycie u Pani Jasnogórskiej pojechał odwiedzić swoją rodzinę, po czym powrócił do Nowej Zelandii.

Obecnie pracuje gorliwie wśród tamtejszej Polonii, mimo, że ma liczne obowiązki przy parafii nowozelandzkiej. Jest pełen inicjatywy, a jego pomysły mają zawsze za cel rozszerzenie i umocnienie polskości. Między innymi zorganizował tam *Koło żywego polskiego słowa*, a w 1969 roku zainicjował i wiele dopomógł w przygotowaniach obchodu 25-lecia naszego przyjazdu do Nowej Zelandii. Jest on bardzo cenionym i szanowanym człowiekiem.

Jest to tylko jeden przykład. Nie sposób opowiedzieć o wszystkich. Wielu spośród naszych wychowanków, tak chłopców, jak dziewcząt, ukończyło studia wyższe, wiele z nich zajmuje eksponowane stanowiska w Nowej Zelandii.

Muszę też podkreślić, że nasze dzieci wyróżniały się w katolickich szkołach nowozelandzkich. Wszędzie były pozytywnym elementem grupy. Ich przeżycia na tułaczce spowodowały, że miały jakiś szerszy, bardziej dojrzały pogląd na życie niż dzieci nowozelandzkie.

Kończąc te moje o nich wspomnienia muszę powiedzieć, że ta młodzież stała się niejako „ambasadorami” Polski w Nowej Zelandii. I jest to moją wielką radością.

S. Monika Alexandrowicz

ALEXANDROWICZ Maria, s. M. Monika od M. B. Przyczyny naszej radości, ur. 30 V (2 XI) 1902 w Charsznicy, pow. Miechów. Do Zgromadzenia została przyjęta 5 IX 1928 w Pniewach, dokąd przyjechała w 1925, by uczyć technologii sporządzania posiłków, zasad żywienia i chemii życia codziennego w Seminarium Nauczycielek Gospodarstwa Domowego Sióstr Urszulanek SJK. I śl. 15 VIII 1930, zm. 12 VII 1992 w Milanówku.

Córka Bronisława i Natalii z d. Zajączkowskiej. Szkołę średnią ukończyła w Kielcach, a następnie Państw. Seminarium Nauczycielskie w Krakowie oraz kursy metodyczne dla nauczycielek i instruktorek nauki gospodarstwa domowego w Poznaniu. 1 IX 1935 objęła kierownictwo domu Zgromadzenia w Lubczu n. Niemnem. 20 X 1939 siostry, zmuszone do opuszczenia placówki lubczańskiej, udały się do domu centralnego w Czarnym Borze k. Wilna.

14 VI 1941 została aresztowana i wywieziona do Rosji razem z s. Imeldą Tobolską, z którą dzieliła dalsze losy. Przez 7 miesięcy pracowała w łagrze Stupino na Uralu, następnie udała się 19 I 1942 do Jangi-Jul (Uzbekistan), gdzie znajdował się sztab wojska polskiego. Została przyjęta do armii gen. Andersa i skierowana w charakterze siostry sanitarnej do Guzaru. Stamtąd wysłano siostry wraz z wojskiem do Teheranu, dokąd przybyły 5 IV 1942. W 1942-1944 pracowała jako kierowniczka administracyjna sanatorium dziecięcego dla polskich dzieci i nauczycielka w szkołach w Isfahanie. 1 X 1944 otrzymała nominację Delegatury Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Teheranie (Rząd RP w Londynie) na wychowawczynię grupy dziewcząt, udających się z Persji do Nowej Zelandii. Po przybyciu do Nowej Zelandii z grupą 730 dzieci i 80 personelu pracowała w osiedlu dziecięcym w Pahiatua, następnie prowadziła bursę dla chłopców na Island Bay (1946-1947) oraz bursę dla dziewcząt w Wellingtonie (do III 1958). Była wybitną wychowawczynią, wpływającą na kształtowanie setek polskiej młodzieży. Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii 5 II 1956 nadało jej tytuł Honorowego Członka Stowarzyszenia.

Po powrocie w 1958 do kraju pracowała najpierw w Sieradzu, a od IX 1960 była kierowniczką domu zakonnego i administratorką diecezjalnego domu wypoczynkowego dla księży i kleryków w Nałęczowie. W 1962-1971 pełniła obowiązki kierowniczki domu zakonnego w Milanówku, następnie w Częstochowie przy ul. Pułaskiego (1971-1984).

Będąc sama słabego zdrowia, rozumiała zwłaszcza chore siostry, dbała o ich potrzeby zarówno duchowe, jak i materialne. Była bardzo dobra, z radością obdarowująca każdego potrzebującego. Umiała nawiązywać serdeczne kontakty z osobami świeckimi, sąsiadami domów, w których przebywała. Ostatnie lata życia spędziła w Milanówku, gdzie zakończyła swe długie, tak bogate życie, oddane służbie Bogu i człowiekowi. Spoczywa na tamtejszym cmentarzu parafialnym. Opublikowała: *Z Lubcza na antypody*, Warszawa 1998.

BIBLIOGRAFIA:

Ł. Z. Królikowski OFMConv., *Skradzione dzieciństwo*, Londyn 1960. K. Skwarko, *Osiedlenie młodzieży polskiej w Nowej Zelandii w r. 1944*, Londyn 1972. *Isfahan – miasto polskich dzieci*, Londyn 1987. *Wiązanka myśli i wspomnień – Koło Polek 1965-1991*, Wellington – New Zeland 1991.